

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N. 214.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8 półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 31 października 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3,
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU.

Olbracht Łaski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. —
Korespondencya od redakcyi. — Żydzi gdańscy w synago-
dzie (z drzeworytem). — Pomywaczka, obrazek z końca XVIII
wieku, (dokończenie) (z dwoma drzeworytami). — Kronika
sztuk pięknych. — Sprawy społeczne. — Szachy. — Rebus.

Olbracht Łaski.

Na ziemi węgierskiej, w zamku kesmark-
skim, urodził się Olbracht Łaski w r. 1533,
z ojca Jarosława, wojewody sieradzkiego i
siedmiogrodzkiego i Anny z Kurozwęk, ostat-
niej dziedziczki gasnącego z nią rodu Ry-
twańskich. Matka, umierając w roku 1552, je-
dynaka swego poleciła w opiekę dwóm kró-
lom, polskiemu i węgierskiemu, oraz doświad-
czonym przyjaciółom domu swego, a wycho-
wanie jego powierzyła szczególnej troskliwo-
ści znakomitego męża, Macieja z Łobodzie Ło-
bockiego.

Olbracht Łaski, którego w dzieciennych la-
tach karmiono powieściami o wielkich czy-
nach, o dalekich podróżach, o bojach i po-
selstwach ojca, pałał żądzą podobnej sław-
y; tęsknił do niebezpieczeństw i walk, które
w gorącej jego wyobraźni malowały się poe-
tycznie.

Obywatel dwóch krajów, poddany dwóch
sąsiednich koron, polskiej i węgierskiej, prze-
bywał kolejno na dworach Ferdynanda i Zy-
gmunta Augusta; zwidził cenniejsze stolice Eu-
ropy, poznał wsławionych wojowników swego
czasu i wróciwszy na Kesmark, obyczajem
wieku, otoczył się zbrojną drużyną, dobie-
rając co najwprawniejszych i najślawniej-
szych w rzemiośle rycerskiem najemników.

Wśród marzeń o bojach, nauczył się mniej
zważać na słusność sprawy którą popierać
lub bronić miał orężem: głównie chodziło
mu o rozgłos. Polacy, Węgrzy, Niemcy, Fran-
cuzy i Hiszpanie składali jego orszak zbroj-
ny. Na zamkach kesmarkskim i rytwań-
skim, pod dowództwem Jana Jarzyny, dzie-
dzica na Krzykawicach, Jana Piaseckiego, Ja-
kuba Szturczkowskiego, Zygmunta Rożna
i Mikołaja Broniowskiego, zoddawo ćwiczyło się nie-
ustannie w obrotach. Zbrojownie były w gotowości;
czekano tylko sposobnej chwili do działania.

Ta wrychle się zdarzyła. W 1557 r. pojawił się
w Wilnie, na dworze Zygmunta Augusta, uznany
w swój godności przez cesarza Karola V, książę wy-

spy Samos, Heraklides Jakub Bazylikos despota, którego
słusznie Marcin Bielski w swęj kronice przybłądą na-
zywa. Uchodził on wszędzie za prawego księcia,
wyzutego ze swego dziedzictwa przez Turków. Wy-
kształcony naukowo, płynnie mówiący po łacinie,
przybywszy z polecającemi listami znakomitych osób
do Radziwiłła Czarnego, jednego z pierwszych możno-
władców, znalazł gościnne przyjęcie i wszystkich u-
wagę zwrócił na siebie. Tu, wywiedziawszy się o
świeżo zaszłych wypadkach na Wołoszczyźnie i wy-

dla odwiedzenia Aleksandra i jego żony Roksandy,
z którą, jak utrzymywał, był spokrewnionym. Na
miejscu poznał dokładnie stan kraju, ucisk hospoda-
ra i łatwość opanowania władzy. Wprędce też się
nauczył miejscowego języka, praw i obyczajów naro-
du. Podejrzliwem okiem dojrzał czy przeczuł zamiary
Heraklidesa Aleksander; już zamierzał tajemnie go
zaimordować, gdy ostrzeżony przybysz wcześniej uszedł
do Bukarestu, ogłosił swój rodowód, jako prawego
następcy po mieczu dawniej dynastyi Dacyi, a ztąd
uszedł do Belgradu siedmiogrodzkiego, gdzie
miała wówczas swą stolicę królowa węgier-
ska Izabella Jagiellonka.

Tu w r. 1559 poznał się z Olbrachtem
Łaskim i zwierzył mu się ze swych zamia-
rów. Właśnie w tej dobie Łaski, święto po-
ślubiwszy młodą wdowę po Jerzym Sere-
dym, Katarzynę Buczyńską, Polkę, wziął po
niej w posagu przeszło sto tysięcy czerw-
nych złotych i gotów był rzucić się na to
przedsięwzięcie zuchwałe, które Heraklideso-
wi tron, a jemu rozgłos sławy wojennej i
wielkie posiadłości ziemskie zapewnić miało.
W późnej jesieni tegoż roku, w Bardyowie,
stała między nimi umowa, że za pieniądze
Łaskiego zaciągnięte będzie wojsko, opa-
trzone w dostateczną ilość dział i potrzeb
wojennych, a tymczasem Heraklides stronni-
ków swoich ostrzeże, aby go oczekiwali i
umysły ludu starali się dla niego zjednać.
Łaski przybrał godność hetmana wielkiego
ziemi moldawskiej, i wołoskiej i począł ob-
myślać zaciąg. Nad jazdą przełożył Zygmunta
Rożna, nad piechotą Aleksandra Gwagnina,
późniejszego kronikarza. Pod chorągiewami miał
Polaków, Węgrów, Niemców, słowem zbie-
raną drużynę, ale ludzi doświadczonych od-
wagi, którzy byleby żołd pobierali, nie wglą-
dali dokąd ich prowadzą i za jaką sprawę
walczyć mają.

Całą zimę i następne lato zabrały przy-
gotowania do tej wyprawy. Łaski, zaledwie
wówczas mający lat 27, tchnący żądzą nie-
bezpieczeństw, skoro się ujrzał na czele 1600
zbrojnych, i Heraklides gdy otrzymał donie-
sienie, że w samym obozie jego przeciwnika
już zdrada dojrzała, wnet na wiosnę 1561 r.
wyruszyli z Kesmarku i przez Karpaty, czę-
ścią kraju polskiego, zamierzili wtargnąć do
Wołoch.

Prowadzili z sobą dziewięć armat, dostateczny za-
pas amunicyi i żywności, spodziewając się przemknąć
niepostrzeżenie przez kraje rzpltej. Ale Mikołaj Sie-
niawski, wojewoda ruski, który przed ośmiu laty
Aleksandra Lepusnano na tronie wołoskim pod opie-
ką króla Zygmunta Augusta osadził, nie mógł scier-



OLBRACHT ŁASKI. (Podług ryciny Teplara).

niesieniu przewagą oręza polskiego na tron hospo-
darski Aleksandra Lepusnano, postanowił bliżej ten
kraj zbadać, myśląc już o tém, że w nim może znaj-
dzie urzeczywistnienie wymarzonej nadziei.

W początkach r. 1558, opatrzone listami Radzi-
wiłła Czarnego i innych panów polskich, wyjechał

pięć tak zuchwałego zgwałcenia granic rzpltej: rozkaż chorażwom swoim odeprzeć i rozbić zastęp najeźdźczy. O dziesięć mil od Lwowa w bitwie stożonej Łaski stracił niewiele ludzi, ale całą artylerię i cały tabór. Po tym pogromie w r. 1651 powrócił z Heraklidesem na zamek kesmarski.

Nie stracono wszelako nadziei spełnienia zamiarów: zbiegi powoli zbierali się na zamek. Heraklides zdołał wyjednać sobie względy cesarza Ferdynanda, który nie tylko że zasiłił go znaczną na ów czas summa 8000 czerwonych złotych, ale pozwolił mu robić w kraju tajemne zaciągi.

Dla odwrócenia uwagi hospodara, Heraklides udał chorobę i zamknął się w samotnej komnacie zamku kesmarskiego.

Z każdym dniem dworzanie coraz więcej trwożące wieści o chorobie jego głosili; nakoniec uderzono w dzwony jak po umarłym, i nazajutrz ze wspaniałym pogrzebem próżną trumnę wyniesiono i w grobach wielkiego kesmarskiego kościoła św. Krzyża złożono. Trumnę tę nieśli znakomitsi rycerze polscy i dworzanie Łaskiego. Szpieg hospodara Aleksandra, który ciągle w Kemarksu tajemnie przebywał, jako naoczny świadek pogrzebu, pośpieszył z pożądaną wieścią do Soczawy. Aleksander rozumiał że po dwuletnim niepokoju swobodnie odetchnie, gdy właśnie niebezpieczeństwo, mające obalić jego panowanie, z każdą chwilą wzrastało.

Tymczasem zbierali się gromadnie, Węgrzy, Polacy, Francuzi i Burgundzcy. Zastępy ich z ośmiu działami szybkim pochodem przez Węgry omyliły czujność strażników granic rzpltej i w r. 1564 doszły do Śniatynia.

Prerażony hospodar zgromadza siły do 25,000 wynoszące na polach Soczawy, złożone z wieśniaków i niedobranej drużyny. Dnia 18 listopada 1564 Łaski szykuje swe hufce do boju i przemawia do nich, zagrzewając do spotkania.

Mowa ta charakteryzuje dobrze Łaskiego, dlatego ją tu podajemy.

„Nie żądz panowania, nie chciwość bogactw skłania mnie, waleczni towarzysze broni, do obecnej sprawy, w której własne i wasze życie narażam. Znaćcie mnie odda: nigdy nie nadużyłem władzy odziedziczonej po nieśmiertelnym ojcu moim, nigdy nie nastawałem na cudzą własność, i owszem, cokolwiek mam dostatków po przodkach, ile mi ich szczęście kuśdina dostarczyło, te za wspólne mienie rycerskich ludzi zawsze pocytywałem. Ale sława wojenna, ale żądz by nieśmiertelnie moje imię, pozostać mi w ukryciu nie dozwolity. Tej nieśmiertelności, przykładem starożytnych bohaterów, dobijać się, zwłaszcza niosąc pomoc tym, których niesprawiedliwość przesładowa, za najwyższy cel życia obrałem. Owóż gdy obecny tu między nami potomek odwiecznych władców tej ziemi, wezwał pomocy naszej, abysmy za krzywdy nie tylko jemu, ale Bogu i narodowi wołoskiemu wyrządzone, krwawą zemstę wzięli: w imię więc tych świętych, dobrowolnie przyjętych przez nas obowiązków, w imię Boga i ludzkości, uderzym śmiało, walcmy nieustraszenie, a motłoch zalegający te błonia natychmiast przed męztwem naszym pierzchnie.“

Uderzono i rozbito wojska Aleksandra, który widząc straszny jego pogrom, z żoną i dziećmi uciekł do Stambułu, ze skargą do sułtana na Olbrachta Łaskiego.

Po odniesionym zwycięstwie i ustaleniu władzy Heraklidesa, Łaski mianowanym został hetmanem najwyższym ziemi wołoskiej, a w odwzięczeniu za tron swój, nowy władca cały powiat chocimski, z miastem i zamkiem Chocimem, na dziedzictwo mu oddał. Łaski zaciężne chorągwie polskie wprowadził do twierdzy, której straż Janowi Piaseckiemu powierzył.

Heraklides, otrzymawszy od sułtana Solimana potwierdzenie na hospodarstwo, udał się z prośbą do Zygmunta Augusta, a wynurzywszy mu wdzięczność swoją, że mu przebaczył wtargnięcie w kraje rzpltej, oświadczył iż gotów jest służyć Koronie posiłkami w najpierwszej wojnie, a zarazem upraszał aby działa, w pierwszym jego wkroczeniu nad granicą stracone, napowrót mu oddano. Król odpowiedział mu d. 7 sierpnia 1562 r. „że oświadczenie jego wdzięcznie przyjmuje, lecz gdy lato już jest na schyłku i pora do toczenia wojny przechodzi, na dalszy czas gotowość jego sobie zamawia. Co do dział, rzecz jest tym trudniejsza, im samo wtargnięcie było niespodziane. Straż nadgraniczna wojskowa odwołuje się do praw i zwyczajów wojennych, podług których zabrane działa są dobrą zdobyczą.“ Zygmunt August, na otrzymaną wiadomość że go Soliman zatwierdził na tronie wołoskim, odpowiedział sułtanowi d. 18 sierpnia t. r., iż go uważać będzie jako lennika Wysockiej Porty; żąda tylko, aby hospodar ze swej strony

zachował się w granicach oznaczonych umowami między obu państwami istniejącymi. Łaski, najwinniejszy w oczach króla; otrzymawszy list żelazny, przybył na sejm, i jak Bielski wyraża: „uczciwą o sobie zdawczy sprawę, łaskawie przez króla był przyjęty.“ Heraklides, obojętny na wiarę wyznawaną w kraju, otoczony cudzoziemcami, gdy zabrał skarby cerkiewne, wywołał przeciw sobie wielkie oburzenie. Daremnie Łaski starał się wstrzymać tak nierozważne postępowanie: Heraklides niechętny uwagom swego przyjaciela, wywołał spór przy zwrocie kosztów wojennych. Łaski utrzymywał, że na wyprawę wołoską wydał 80,000 czerwonych zł., hospodar liczył tylko 20,000. Hetman opuścił go rozjątrzony, śpiesząc na sejm 1562 r. do Piotrkowa. Zatrzymawszy się na dworze Dymitra Wiszniowieckiego, zamówił sobie jego pomoc przeciw hospodarowi, a ten, wiedząc o niechęci Łaskiego, w r. 1563 zdradą opanował Chocim. Wiszniowiecki, który zawarł sojusz z Łaskim do wspólnego działania na Wołoszczyźnie, zniecierpliwiony długą jego nieobecnością, gdy otwarty wybuchł rokosz przeciw Heraklidesowi, pośpieszył pod Soczawę i opłacił życiem zuchwałą wyprawę.

Nie wiedząc o niczem, Łaski z zebraniem wojskiem nadciągnął do Chocimia. Ostrożnie rozłożywszy swój obóz nad Seretem, otrzymał straszne wieści o śmierci Heraklidesa i pogromie Wiszniowieckiego. Przeświadczonej teraz że w tym kraju nie mu do działania nie pozostało, całą troskliwość obrócił na to, aby w całości hufce swoje wycofać. Jakoż naoczny świadek i uczestnik tej wyprawy, Aleksander Gwagin, pisze: że Łaski z taką przeczornością nad ludem swoim czuwał, iż ani jednego zaciężnego nie stracił, przeciwnie, odcinając się napaści, znaczną liczbę naciskających wrogów trupem położył.

Łaski, wydobywszy się ze zdradliwych a zgubnych zasadzek, zaciągi swoje w Chocimiu trzymał, gotowy bronić go, jako swój własności, przeciw każdemu, nie lekając się nawet przewagi Turków.

Sułtan Soliman słusznie zażądał wyprowadzenia wojsk polskich z Chocimia, jako części księstwa wołoskiego. W początkach kwietnia 1564 r. przybył do Warszawy nadzwyczajny poseł turecki, ponawiając dawniejsze w tej mierze przełożenia. Oświadczył imieniem swojego pana, że gdy właśnie Tatarzy astrachańscy świeżo podnieśli rokosz przeciw wielkiemu księciu moskiewskiemu, król polski powinien korzystać z czasu i powetować krzywdy Litwie zadane; że sułtan Soliman, zawdzięczając powolność królewską w sprawie chocimskiej, gotów jest na pierwsze wezwanie wziąć czynny udział w tej wojnie. Na poparcie tych wymagań sprawiedliwych, nad brzegami Dunaju stanęło 40,000 wojska tureckiego.

Król Zygmunt August wezwał Łaskiego, aby poświęcając własny majątek dla dobra kraju, twierdząc chocimską dobrowolnie nowemu hospodarowi wołoskiemu oddał. Usłuchał też głosu swojego króla i w ciągu lata 1564 r. zbrojne swoje chorągwie z twierdzy chocimskiej wyprowadził. (1)

W cztery lata świetniem zwycięstwem zapisał imię swoje w dziejach narodowych. W r. 1568 Tatarzy Podole spustoszyli. Łaski z Secygniowskim w walnym starciu nie tylko hordę na głowę poraził, ale na czelę tysiąca zbrojnych wojowników przeszedł step i pod Oczapowem straszną nieprzyjacielowi klęskę zadał. Plon cały wzięty z Podola oddał, braniców pędzonych z jassyru uwolnił i trzody tatarskie w tak wielkiej ilości zabrał, że barana po groszu, a wołu po złotemu sprzedawano.

Po śmierci Zygmunta Augusta, popierając stronę Henryka Walezjusza, należał do świetnego grona posłów, którzy w Paryżu podziw wywołali. Na koronację tego króla czterystu jeźdźców w bogatych zbrojach wystawił. Przeciwny obiorowi Stefana Batorego, gdy po utwierdzeniu się swoim na tronie król odebrał mu Lanckoronę, potrafił go przebłagać, kiedy stanął ze zbrojnym hufcem pod Połockiem. Zygmuntowi III oddał ważne usługi i doszedł sędziwego wieku.

Najwybitniejszym czynem jego jest pełne dramatycznego zajęcia wprowadzenie na tron Heraklidesa, a później pogrom Tatarów. Reszta jego życia, jakkolwiek burzliwego i bogatego w ustepy ciekawe, nie ma w sobie tych rysów bohaterstwa, którymi się odznaczył w dwóch pomienionych wyprawach.

(1) Mikołaj Malinowski: „Jakób Heraklides i Olbracht Łaski. Ustęp z dziejów polskich XVI wieku.“ Teka wileńska, T. 3. Wilno 1858 r.

(2) Niesiecki.

(3) W r. 1858 M. Malinowski, drukując ustęp dziejowy o Heraklidesie, przyrzekł opowiedzieć szczegółowo ciąg dalszy żywota Łaskiego, po upadku hospodara wołoskiego. Dotąd jednak nie spełnił swej obietnicy.

Kronika tygodniowa.

W dniu i godzinie rozpoczęcia się pożaru w gmachu ratuszowym warszawskim, umarł Grzegorz Jaholkowski, b. naczelnik kancelaryi tutejszego magistratu.

Bywają ludzie, którzy są wyrażeniem kraju, społeczności, epoki, chwili danej. Charakteryzując czas albo miejscowość, nieraz dość jest wymienić nazwisko człowieka co przeważną grał w niej rolę.

Bywają znów tacy, którzy epokę, chwilę dziejową, czas w jakim żyli, najdokładniej opisać, udotkalnić prawie umieją. Z Saint-Simona więcej się nauczy o Ludwiku XIVym i ludziach jego wieku, aniżeli z różnych innych spółczesnych historyj i kronik, choć Saint-Simon zbierał tylko anegdotki, fakta bieżące i chwytając przelatującą chwilę na gorącym uczynku.

Nie potrzebujemy tu dodać, że i Pasek nasz przedstawia dokładniejszy obraz wieku w którym żył, od wszelkich kronikarzy. A jednak Pasek i Saint-Simon, pisali bez żadnej pretensyi do historyzofowania; to co ich dotyczyło, to czego byli świadkami, co najbliższe im podpadało pod oczy, stawało się dla nich żywym do obrobienia materiałem, i wychodziły z tego zajmujące dla potomności pamiętniki, stanowiące o braż i naukę, źródło i punkt oparcia.

Nie każdemu jednak daną jest ta zdolność krytyczna, co przy opisywaniu czasów i ludzi społecznych, potrafi niecofnięty przez późniejszych sąd wydawać i stawiać się punktem oparcia, na którym przyszyły historyk buduje swoje wywody. Bywają tacy jeszcze, co wiele widząc i wiele słysząc, eierpliwie i troskliwe nagromadzają w okół siebie podpadające im pod rękę materiały. Podobni oni w tem do owych mnichów, kronikarzy ubiegłych wieków, którzy stanowią jedyne źródło historyi czasów oddalonych i zamierzchłych. Pisząc, wstrzymują się oni od sądu, zbyt mało ufni w siebie, ażeby narzucać swoje zdanie tym, którym pamiętniki ich wpadną kiedyś w rękę; starają się tylko przedewszystkiem o wyswiecenie prawdy, o zapewnienie sobie dobrych źródeł, szczęśliwi jeżeli sfera w której żyją i przyjazna sposobność ułatwia im owo skrzętne zbieranie bieżących wypadków i czynności ludzkich.

Ograniczają się oni często do jednej miejscowości, nie sięgając dalej, a zamilowani w swoim przedmiocie, z bezprzykładną drobiazgowością śledzą najdrobniejsze odcienie i wypadki, dając im chętnie miejsce, w tem przekonaniu, że niema tak drobnego faktu, któryby kiedyś nie znalazł zastosowania swojego i przez umiętnego badacza nie mógł być użytym do uzupełnienia ogólnego obrazu miejscowości, ludzi i epoki w której żyli.

Otóż jeżeli nie myła nas dawniej jeszcze powzięte informacje, zmarły Jaholkowski był jednym z takich właśnie.

Od kilkudziesięciu lat mieszkając w Warszawie i zajmując urząd, który stawał go z powołania w środku ruchu miejskiego, zmian różnych i przetworzeń, zawiązawszy przez ten długi czas stosunki ze znaczną bardzo liczbą mieszkańców, wielu znający, znany od wszystkich prawie, wyl się tak w miasto nasze, że był, można powiedzieć, chodzącą kroniką kilkudziesięciu lat ubiegłych. Ile nam wiadomo, nie dowierzając pamięci, każdodziennie wszystko co doszło do jego wiadomości, wszystko co widział i o czem słyszał z ust wiarygodnych, przelewał on na papier w kształcie notatek, które potem poprawiał i porządkował w sposobnej chwili.

Takim sposobem utworzyć się musiała zajmująca kronika naszego miasta, kronika dokładna, bo odzwierciedlająca dzień po dniu wszystkie czynności i fakta, które mało ważne napozór, z czasem idą w zapomnienie, a skrzętnie zebrane, mogą się stać kiedyś bardzo pouczającymi i rozjaśnić wiele skutków, których przyczyn napróżno by szukał ten, komu nie danem było odnieść się do samego źródła.

Powtarzamy, że nie zebraliśmy bliższych wiadomości o Jaholkowskim i jego kronice. To tylko pewne dla nas, że istnieje ona, a przynajmniej istniała przed kilku jeszcze latami. Nie mając żadnych stosunków ze spadkobiercami, nie mogliśmy się o przetworzeniu jej aż po dziś dzień upewnić; przekonani jednak jesteśmy, że tak szacowna i użyteczna praca nie mogła i nie powinna uleść zniszczeniu i że kiedyś zjawia się ona w sposobnej chwili, jako materiał dla późniejszego historyka miasta.

Bo gdyby tylko Jaholkowski chciał spisywać wszystko co wiedział i o czem mówił, już z tego nawet niezliczone tomy nader zajmujących wiadomości utworzyłoby można. Znał on dzieje każdego cyrkułu w Warszawie, każdej ulicy, każdego domu. Na palcach mógł wskazać przetworzenia jakim w koniecz-

ném następstwie czasu ta lub owa część miasta naszego uległa. Kupiwszy dom, a pragnąc się dowiedzieć o przeszłości tej nowej własności swojej, mogłem iść śmiało do Jahołkowskiego, a on, nie zaglądając nawet do swoich notatek, wyliczył ci z kąd ten dom powstał, w jaki sposób przebudowywał się, jacy byli pierwsi jego właściciele, jacy główni lokatorzy zamieszkiwali go, słowem wszelkie ważniejsze wypadki, które się w danej miejscowości kiedykolwiek zdarzyły.

I tak we wszystkim.

Jahołkowski bowiem nie przestawał na bieżących wiadomościach, ale szedł do źródeł. Mając pod ręką akta magistratu, obeznany z nimi najdokładniej, mógł z nich robić najbardziej zajmujące wyciągi. Jednego tylko znamy w Warszawie uczonego, który pod tym względem mógłby ze s. p. Jahołkowskim współzawodniczyć. Ale Jahołkowski daleko dawniej od wspomnianego pracownika zamieszkiwał Warszawę i wcześniej wziął się do dzieła, a przylatując obecnie chwili było dla niego głównym zadaniem, a przeszłość koniecznym dodatkiem tylko. I w miarę jak czas ubiegał, a obecna chwila stawała się przeszłością, on sam z papierów swoich mógł być utworzyć akta daleko więcej zajmujące, od wszystkich wyciągów archiwalnych.

Nie było dla niego mało ważnego faktu, ani mało znaczącej czynności. Poprawa bruku na tej lub owej ulicy, znajdowała miejsce obok głównych zmian miejskich i przetworzeń tej lub owej części Warszawy. Kiedy burzono stary jaki gmach, albo przerabiano go na nową budowę, Jahołkowski wnet notował wspomnienia o nim. Jeżeli umarł ktoś, zawsze Jahołkowski wiedział coś o zmarłym i mógłby, gdyby był chciał, dostarczyć dokładnych informacji nekrologistom. Kiedy przyjechała do Warszawy znakomita jaka osobistość, Jahołkowski śledził jej tu pobyt, zapisując starannie wszystko co jej się wydarzało; ale z tą samą starannością notował chociażby i przybycie towarzystwa sztucznych jeźdźców, jakiego magika lub akrobata. Koncert lub wieczór, nowa sztuka w teatrze, wystąpienie jakiego aktora, wszystko znajdowało u niego miejsce, i dlatego kronika jego byłaby nieocenionym materiałem dla tych wszystkich, którzy notując fakt, dołączają zarazem wspomnienia jakie ten fakt budzi, a przy systematycznym porządku, którym się Jahołkowski odznaczał, każde takie wspomnienie byłoby łatwym do odszukania.

Trzebaż bo wiedzieć, że w życiu i przeszłości Warszawy istnieją tysiączne skarby nietknięte jeszcze, a szerokie pole stanowiące dla badacza. Nie odrazu Kraków stanął, mówi przysłowie, ale i Warszawa nie odrazu. Nie była ona budowana na stołeczne miasto, dowodzi tego nieregularność ulic i dzielnic osobnych, które powoli łączyły się ze środkowym Starym miastem. A nawet długo jeszcze po przyłączeniu, każda z tych dzielnic odznaczała się osobnym życiem i fizyognomią osobną. Dzisiaj nawet, o ileż Leszno niepodobne jest do Nowego-świata, a ulica Trębacka do Nowo-Senatorskiej, chociaż sąsiadują z sobą!

Istnieją tu gmachy, których historia tomy całe zajęłaby mogła, i godną jest uwagi rzeczą, że nikt mniej Warszawy i jej pamiątek nie zna, jak prawdziwy z krwi i kości Warszawianin. On krąży tylko po niektórych uprzywilejowanych ulicach, a istniejąca dzielnica miasta, gdzie nigdy noga jego nie postąpiła. „To tu mieszkają ludzie?” pyta się on z podziwieniem, jeżeli przypadkiem zajdzie na jedną z tych ulic nieznaną sobie. Nieraz zdarzało się, że znakomici cudzoziemcy, przybywający chwilowo do naszego miasta, napróżno szukali takiego, koby ich mógł oprowadzić i wskazać tutejsze pamiątki i zabytki. Jakże uparcie utrzymywano, że wzniesienie na którym przed kilkunastu jeszcze laty istniał ogród wzdłuż ulicy Rymarskiej, na przeciwko Banku, było okopem szwedzkim, chociaż ani się śniło Szwedom z tej strony okopy usypywać. Ale ten koby był śmiały wystąpić przeciwko temu twierdzeniu ludowemu, uważanym byłby niewątpliwie za heretyka.

A wiele to sprzecznych było tradycji o krzyżu wystawionym w ogrodzie oo. kapucynów, przy ulicy Miodowej, tuż obok Grabowskich pałacu! O ten krzyż toczyła się długo żywa polemika w gazetach, a wszakże rzecz szła o czasy wcale niedawne, których zasięgnąć mogła pamięć starych ludzi tutejszych.

Ileż to szczątków muru otaczającego niegdyś Warszawę rozpoznawano tu i owdzie, a niedokończony i zniszczony ogniem pałac książąt de Nassau, brano za starą pamiątkę.

Toż samo kiedy mowa była o podziemiach w pałacu ordynackim, dzisiaj na gmach Instytutu muzycznego przerobionym, niestworzone o nich pleciono bajki; a już o salonach podziemnych ogrodu należącego dziś do szpitala św. Łazarza, całe legendy chodzą.

Zauważyć zaś trzeba, że wszystkie te bajki czepiały się zabytków zaledwie końca zeszłego wieku sięgających, a o dawniejszych pamiątkach i mowy być nie mogło; ani dziejów ich, ani znaczenia nikt prawie nie znał.

Tutaj więc wykazuje się użytek spisywania pamiątek i ogłaszania ich drukiem.

Sądźmy że i u nas niebrak tego rodzaju zabytków, chociaż wiele z nich poniszczono w różnych przejściach, bez wiadomości na co się zdać mogły. Kiedyś, przy sposobniejszym czasie, wiele z nich ujrzy światło dzienne; dziś jednak literatura nasza bardzo jest ubogą w takie prace źródłowe.

Bo trzeba wiedzieć że i pamiątki takie nie tak łatwo jest pisać. Należy przedewszystkiem ażeby pisać bardzo mało zajmował się swoją osobistością i przytaczał fakta, unikając wszelkich rozwozeń się nad nimi i głębokich rozumowań. Fakta to rzecz główna, one za wszystko starczą. I trzeba być chyba bardzo znaczącą osobistością w daną epokę, żeby mieć nadzieję iż to co nas wyłącznie dotyczy, będzie mogło kiedyś zajmować czytelników.

Takie pamiątki może chyba pisać osoba, która przeważnie wpływała na losy krajowe, w której mocy jest odsłonić tajne sprężyny działań i nieznaną ogółowi przeszłość. Z zajęciem czekamy na ukazać się mające kiedyś pamiątki Tayllera, ale dzieje życia jakiegoś tam pana Piotra, straty jakie poniósł w krowach i gęsiach, kontrakt jaki zawierał z pachciarzami i handlarzami zbożem, niewiele nas obchodzą.

Przypominamy sobie że wychodzący w zeszłym wieku w Warszawie Monitor, pismo satyryczne i humorystyczne, umieścił raz na wzór drugim pamiątki zfrancuziałego modnia swojego czasu.

Dziwnie to tam były rzeczy: same wspomnienia o kartach, pohulankach, redutach i t. p. A przy każdym takim wspomnieniu znajdowało się post-scriptum, wyrażające prawdziwą myśl piszącego i zdanie jego o wypadku z którego zdawał sprawę. Niektóre z tych postskryptów były rzeczywiście charakterystyczne i śmieszne.

Tak naprzykład:

49 septembra..... Wieczorem znajdowałem się na kartach u pana starościca B**. Szczęście dość mi służyło. Przywiozłem z sobą do domu 246 czątych. Główny mój adwersarz, stolnik S**, widząc że zanadto darów swoich Fortuna zsyła na mnie, dał mi w papę...

Notabene: trzeba będzie oddać.

Ale widać że ów *quidam* nie lubił w ogóle płacić swoich długów, bo w dalszym ciągu pamiątek niema żadnego śladu, żeby owo zamierzone oddanie przyszło do skutku.

Wiadomo nam że jeden z lichwiarzy tutejszych pisał nie pamiątki, bo oni się w to nie bawia, ale sprawozdanie z interesów jakie każdodziennie odbywał z różnymi indywiduami. Chwalił się nawet raz z tem przed nami, twierdząc, że mógłby wyjaśnić wiele nieznaną faktów. I twierdzenie to jego nie było bez zasady, nietylko bowiem trudnił się on lichwą, ale i ułatwianiem wszelkiego rodzaju interesów, jakie się tylko za pomocą pieniędzy ułatwiać dawały. Notatki więc jego, jeżeli przetrwały, byłyby najrzetelniejszym obrazem zepsucia, które w pewnej epoce rozszerzało się tu na dobre. Był on nawet tak względny dla nas, (a działa się to przed napisaniem książki o lichwiarzach, która nazawsze, jak się zdaje, poróżniła nas z całą tą szacowną gałęzią społeczeństwa), że zakomunikował nam niektóre szczegóły z tej swojej książki pamiątkowej. Kiedyś może, w sposobnej okoliczności, zrobimy z nich użytek.

Jeżeliby kto pragnął w danym czasie nabrać wyobrażenia o stanie finansowym naszego miasta, ten najskuteczniej zadowolić może swoje życzenie, czytając ogłoszenia w dziennikach. Są one niejako obrazem szczegółowych żądań i życzeń, które każdy z ogłaszających na wabika w barwy korzystnego interesu przystraja. Obecnie czytamy ciągle o sumach potrzebnych na różne numera hypoteczne, o domach do sprzedania pod najprzejazniejszemi warunkami, a przedewszystkiem i nadewszystko o umeblowanych lokalach do natychmiastowego wynajęcia, na nieoznaczony termin. Te lokale mrowią się od pewnego czasu za zniżoną cenę, za pół ceny, za 1/3 ceny normalnej. I nic dziwnego, bo po niektórych miastach w Niemczech istnieją prawdziwe kolonie właścicieli tych lokali, którzy, zamierzyszy przepędzić zimę w gościnnych germańskich progach, pragną ażeby im jaki amator tanioci wynagrodził choć w części poniesione koszty. Mało jednak być musi tych amatorów, czytamy bowiem też same ogłoszenia po kilka razy powtarzane.

Najśmieszniejszemi są powody jakie każdy urządowo przy ogłoszeniu dodaje. Z powodu słabości, z powodu nagłego wyjazdu i t. d. i t. d. A co kogo ob-

chodzi, czy sprzedający garnitur mebli albo płaszcz szopowy zapadł na jaką chorobę, lub musi nagle wyjechać? Kupującemu idzie tylko o dogodność dla siebie warunki, o względną wartość sprzedawanego przedmiotu, a powody zbycia nie należą do niego.

Jeszcze śmieszniejszemi wydają się ogłoszenia o zgubionych pieniądzech. Umyślnie je przeglądamy, z takich bowiem nieznaczących na pozór doniesień, wiele się nauczyć można.

Jakabądź summa jest zgubiona, kilka, kilkaset, czy kilka tysięcy złotych, zawsze one należą do ubogiej wdowy, albo stanowią ostatni sierocy fundusz. Najciekawszym jest pod tym względem, że nieraz przy zgubionych pieniądzech znajdowały się weksle widocznie lichwiarskiego pochodzenia. Nawet i te weksle bywają funduszem sierocym i znalazca nie miałby chyba serca, gdyby ich nie pośpieszył oddać poszkodowanemu ubóstwu.

Oznaczone nagrody również nam się nonsensem wydają, są one bowiem zwykle nieproporcjonalne do ogólnej summy. Ktoś zgubił złotych dajmy na to pięćset, oznacza nagrody, oprócz wdzięczności, (co także za procent się liczy) złotych trzydzieści. Otóż jedno z dwojga: albo znalazca jest uczciwym człowiekiem, w takim razie te kilkanaście złotych nagrody nie mają u niego żadnego znaczenia, albo posiada sumienie elastyczne, i trzeba silniej podzielać na niego, dla przywrócenia równowagi poczciwości. Nie mówimy już o tych, którzy są kompletnymi złodziejami i nie mają żadnego skrupułu w przywłaszczaniu sobie cudzej własności; tych żadna nagroda nie skusi. Ale dla ludzi wątpliwych i wahających się ofiaruj połowę, trzecią część zresztą; ta znacząca już sumka przyjdzie w pomoc niepewnemu działaniu sumienia i może skłonić do oddania zguby. Niejeden będzie wołał posiadać połowę kwoty spokoju i z upoważnienia właściciela, aniżeli wyrzucić sobie ciągle grzech zatrzymania cudzego dobytku. Bo niestety! poczciwość ludzka zależy nieraz od stopnia pokusy. Ten któryby chętnie oddał znaną złotówkę, zawaha się przy liście zastawnym. A w takim razie sierocy fundusz i wdzięczność w procencie nie wzruszą go tyle, ile spora nagroda.

Z ogłoszeń tych jednak przekonywamy się dowodnie, że bardzo niewiele znalezionych pieniędzy oddaje się u nas. Na jednego naprzykład znalazcę, który raz w parę tygodni ogłasza do odebrania jaką mało ważną sumkę (nigdy prawie ogłoszenia o znalezionej większej kwocie nie czytaliśmy), widzimy kilkunastu albo kilkudziesięciu *gubicielei* (?) wiecznie wyjeżdżających ze swoją nagrodą, sieroctwem i wdzięcznością. Zdaje się że i odzyskujący zgubione summy są tegoż samego zdania, bo każdy taki fakt podają regularnie do Kurjera. O cnoto! W tym a w tym sklepie oddano mi zgubione pieniądze i nie przyjęto nagrody. I cóż dziwnego?... Właściciel sklepu jest człowiekiem najczęściej zamożnym, subjecki mają sposób do życia w rękę, wypełnili swoją powinność, więc za cóż ich chwalić? Jest to już dowodem pewnego rodzaju skazania obyczajów, jeżeli za cnotę będziemy uważali proste dopełnienie obowiązku.

Inaczej rzecz się ma z włóścianami znacznej majątności w okolicach nowego Konstantynowa, którzy mając sposobność taniego nabycia dobytku do właściciela należącego, nie cheieli z niej korzystać, albo z dzierżawcą młyn do tegoż właściciela należącego, który potrzebną do wypłaty sumę z własnej zapożyczył kieszeni, nie pytając się kiedy i jak dług ten zwróconym mu będzie. To już nie jest dopełnieniem prostego obowiązku, ale cnotą, bacząc zwłaszcza na stanowisko społeczne ludzi którzy to uczynili. Prawda że i właściciel zasłużył sobie na to współczucie prawem i rozumem postępowaniem. Jakie ziarno zasiejesz, taki plon zbierzesz.

KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

P. Ch. w *Warcie*. Wiadomość o Blog. Melchizedechu zdanem naszym byłaby stosowniejszą do Przeglądu Katolickiego, któremu, za przychyleniem się pańskiem, odstąpić ją możemy.

P. Bolesławowi z *Ukrainy*. Przesyłkę odebraliśmy i dziękujemy. Zamieszczony w korespondencji wiersz Jana III do córki oddawna jest znany.

P. T. Ż. w *Poznaniu*. Rysunki i artykuł odebrane; zrobimy z nich użytek jak będzie można najprędzej. Numera żądane nadeszły. Z prac wymienionych żadna dotąd w piśmie naszym nie była dotknięta.

P. I. M. w *Katuzynie*. Dyplomata ks. Bogusława R. otrzymaliśmy, lecz użytkować z niego nie będziemy. Dokument ten drukowany już był kilkakrotnie, mianowicie w dziełach Büschinga i Friesego.

P. O. w *Suwałkach*. Za odebrane fotografie uprzejmie dziękujemy, a prosimy o wzmiankowany artykuł. Po wskazaniu zaginionych numerów, chętnie je nadeszliśmy.

Żydzi gdańscy w synagodze.

(Obraz olejny W. Stryjowskiego).

Utwór ten, pełen prawdy i wybitnej charakterystyki, (który podajemy tu w kopii drzeworytowej), obchodzi nas podwójnie: jako dzieło sztuki wysokiej wartości i jako praca naszego rodaka. Nie znamy stosunków rodzinnych p. Stryjowskiego, bo mimo zgłaszania się naszego, nie udzielono nam pod tym względem bliż-

szczy, mieszczańskiej i niezamożnej. Pomimo wydatnej od dzieciństwa zdolności do malarstwa, nieprzyjemne okoliczności zmusiły go podobno zamiast pędzla, chwycić topór rzeźniczy. Dopiero staraniom znakomitych miłośników sztuki w jego mieście rodzinnem powiodło się młodego Stryjowskiego na właściwą skierować drogę. Wysłany na naukę do Düsseldorfu, niezmiernie szybko tam postępował. Już w r. 1833 na wystawie berlińskiej zwracał uwagę obraz jego, przed-

sta i właściwości jego architektoniczne: jego kościoły, gmachy publiczne i prywatne, bramy, ulice, mosty, arkady, gwar i ruchliwość życia portowego, roje majtków, tragarzy, flisów i Żydów, ogromne śpichrze, wiciny naladowane pszenicą,—wszystko to dla malarza nieocenionym jest skarbem. Takie też sceny po swym powrocie wybierał nasz artysta i znalazł od razu uznanie w całych Niemczech. Subtelna charakterystyka obcych dla Niemców postaci, prostota i swo-



ŻYDZI GDAŃSCY W SYNAGODZE. (Obraz olejny W. Stryjowskiego.)

szych wiadomości; mamy jednak prawo nazywać go rodakiem, bo i nazwisko czysto polskie, i kierunek działalności artysty wyraźnie pochodzenie jego wskazują. Stryjowski wyłącznie prawie przedstawia nasze typy krajowe: Żydów polskich, flisów, druciarzy, a oddaje je w sposób tak oryginalny i z takim zamiłowaniem, że poznajemy w nim Polaka nie tylko z urodzenia, ale z ducha i pracy.

Urodził się r. 1836 w Gdańsku, z rodziny, jak się

stawiający praczkę, zaskoczony przy rozwieszaniu chust przez wicher gwałtowny i ulewę, który, obok dziwactw technicznych, świadczył jednak o niepospolitym talencie jego twórcy.

Powszechniejsze atoli powodzenie Stryjowskiego zaczyna się dopiero od wystawy berlińskiej z r. 1860. Młody artysta powrócił tymczasem do Gdańska, który właśnie dla talentu jego najobszerniejsze i najbogatsze przedstawiał pole. Zachwycające okolice mia-

boda ruchu i wdzięk niewyszukany kompozycji, powszechnie się podobały, a obok tego podziwiano wyborne traktowanie krajobrazu, wieczorny odbłask nieba w zwierciadle Wisły, niezmierzony efekt oświetlenia z jednej strony przez rozniecone ogniska, z drugiej przez księżyc wschodzący, harmonią wreszcie przezroczystego choć energicznego kolorytu.

Na ostatniej wystawie w roku zeszłym, Stryjowski wystąpił w Berlinie z dwoma nowymi utworami.

Pierwszym z nich był „Mały druciarz,” zajęty pracą przed domem, otoczony przesłizną grupą dzieci ciekawie przypatrujących się robocie; drugim, najznakomitszym ze wszystkich, „Żydzin w synagodze.” Pierwowzory tych postaci znalazł artysta w Gdańsku, gdzie w każdy sabat około ich bożnicy spotykać można przepyszne typy starowierców żydowskich, w strojach świątecznych.

Zalążony tu obraz przedstawia Żydów modlących się w synagodze, jednych zamożnych, w atlasowych hałatach, futrzanych czapkach i lakierowanych trzewikach, drugich w uboższym ubraniu; wszyscy zajęci pełnieniem przepisanych obrządków. Ostrołukowe okno zasłania zielona kotara, i ukośny tylko promień słońca wdiera się do wnętrza, oświetlając pojedyncze części obrazu. Koloryt jest ciepły lecz spokojny, zupełnie odpowiedni charakterowi utworu, w którym Strykowski uniknął szczęśliwie wpadnięcia w karykaturalność, tak pospolitą w przedmiotach tego rodzaju; wszystko tu nacechowane jest prawdą niemal dotykającą, ale pojętą szlachetnie i artystycznie. Przykłady te, widoczne i w innych pracach naszego rodaka, w połączeniu z techniką niepospolitą i jedyną zawsze a zręczną kompozycją, dają rękojmię, że oryginalny ten talent coraz świetniej w przyszłości się rozwinie.

Nie wiemy czy głos nasz dojdzie do p. Strykowskiego; pragnęlibyśmy jednak iżby go dosłyszał i wzywamy go, jako ziomka z krwi i ducha, aby prace swe choć w części uczynił przystępnymi dla kraju rodzinnego, przesyłając niektóre z nich na warszawską wystawę Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, gdzie niezawodnie znalazłyby i pokup i zasłużone uznanie.

POMYWACZKA.

OBRAZEK Z KOŃCA XVIII WIEKU,

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Z rysunkami Gersona).

(Dokończenie.)

— Pani, rzekł Staś, to wygląda wcale inaczej niż sobie wyobrażał!

— Cóż tedy, idylla!... mów dalej.

Staroście mówił, płatał się, Anna parę razy ziewnęła.

— Wiesz przecież gdzie to jest? spytała obojętnie.

— Miałem oczy zawiązane.

— Mogłeś trochę im sfolgować..

— Dałem słowo.

— W takich rzeczach?

Staś się trochę obruszył.

— Ale mi to już teraz na nie potrzebne, dodała Anna chłodno; dziękuję ci za staranie; ale musztarda przychodzi po obiedzie, ja wiem już wszystko..

— Jakto? zkąd? spytał staroście zdziwiony.

— Myślałeś że się na ciebie spuszcza?... przezuwałam żeś nadto młody do tej misji poufnej; prosiłam kogo innego, i ten mi doszedł zaraz gdzie ona mieszka. Jutro zobaczę i osądzę własnymi oczyma...

Staś, który sądził że mu będą bardzo wdzięczni, smutnie spuścił głowę..

— A! jak późno! zawołała Anna, patrząc w zwierciadło razem i w zegar nad kominem.. idź spać musiałeś się zmęczyć.

I podała mu białą, okrytą brylantowymi pierścieniami rączkę do pocałowania.. mówiąc: dziękuję ci..

W głosie tym było się można domyśleć wymówki za okazany entuzjazm dla Julii, jakby: dziecko jesteś...

— Nic mi pani nie masz więcej do rozkazywania? spytał staroście.

— Tylko jaknajciszej tajemnicę... dobranoc.

Staś smutny i pomieszany powoli wyszedł jednemi drzwiami, gdy Anna, zawsze biały swój szal wlokąc za sobą, sunęła się drugimi do sypialni, prowadząc Dzidzi, który naszczekiwał...

W ówczesnej alei Ujazdowskiej zaczynały już gdzieś wznosić się małe drewniane, lub w części murowane domki, wśród rozległych ogrodów. Głu-

cho tu jeszcze było i mniej życia panowało w tej stronie niż dzisiaj, ale w lecie szukano tu powietrza wiejskiego, a ogrodnicy spekulowali, zasadzając owocowe drzewa i warzywa. Wśród tych sadów gdzieś niedaleko mały parterowy domek, na letnie przeznaczony mieszkanie, wznosił się niepozorny i skromny. W ogóle małe te mieszkanki nie zwracały oczów wcale, nikt tam znaczniejszy jeszcze się nie osiedlił... W pośrodku prawie alei, po prawej stronie jadąc od Warszawy, dosyć znaczny grunt opasywał w części mur, a w tyle wysoki parkan drewniany.. Zamknięta prawie zawsze furtka od alei nikogo nie nęciła, tak była prosta i niewykwinna.. Od ulicy żadnego nawet domu widać nie było. Stał on w głębi otoczony drzewami, na końcu alei z gruszy i jabłoni i wyglądał jak uboga chatka ogrodnika..

Nikt się tam nie domyślał mieszkańców, tak byli dobrze ukryci wśród zieleni, gąsieni i bujnych grząd ogródka... We dnie furtka była ściśle zamknięta, a drugie wejście od Mokotowskiej uliczki niedostrzeżone, niepozorne, służyło do codziennych stosunków z mies-

kających kogo innego, ale tą razą zakwestionowała wyrażnie zażądała widzieć się z panią Lagrange.. Wypadek był nadzwyczajny; sługa pobiegła oznajmić, zostawiwszy przybyłą w korytarzyku..

Francuzka mocno się przelekła i wybiegła do sieni..

— Co to być może? kto to być może?

— Madame, odezwał się z pod czarnego kwefu głosik kobiety, słówko tylko... pozwól mi wniknąć do środka.

— Pani.. tu nikt nie wchodzi.. ja nie mogę..

— Przychodzę od króla.. przerwała nieznajoma.. Ściągniesz pani na siebie gniew jego, opierając się napróżno.. Prowadź mnie pani do pokoju.

Lagrange zmieszana nie wiedziała co począć. Tymczasem przybyła wyminęła ją i posunęła się żywo, instynktem zgadując gdzie iść należało..

W saloniku małym siedziała Julia u fortepianu i śpiewała.. czysty jej głosik rozlegał się daleko. Nieznajoma na palcach wcisnęła się, stanęła, patrzyła, a kwef jej oddechem niecierpliwym się poruszył.. Nie zważając na panią Lagrange, stojącą i drżącą ze strachu, rzuciła się na krzesło..

Julka śpiewała.. Po chwili głos jej umilkł, ręce zsunęły się z fortepianu, zamysliła się, westchnęła i oczy skierowały się ku pięknemu pastelowi Marteau, wyobrażającemu księcia Józefa..

Gdyby kto był w tej chwili podniósł czarną zasłonę, okrywającą twarz Anny, dojrzałby gorejący na niej rumieniec, który przebijając bielidło, coraz krwawszym oblęwał ją płomieniem zazdrości i gniewu.. Ręce jej drżały, pierś podnosiła się żywo, naostatek odwinęła kwef który ją osłaniał i podeszła wprost do klawikordu. Julia sądziła po chodzie, że pani Lagrange się zbliża, i przelekła się straszliwie, ujrawszy nagle zupełnie nieznajomą kobietę, wlepiającą w nią oczy ogniste, jakiegoś uczucia, dla Julii niewytłumaczonego, pełne.. Krzyknęła porwijąc się z siedzenia.

Anna wciąż na nią jeszcze patrzyła, zdając się ciekawością przebiegać zasłonę. Wzrok ten zuchwały wielkiej pani, przyglądającej się istocie którą miała za daleko niższą od siebie, miał w sobie coś tak przykre i bolesnego, że Julia uczuła odeń ból wewnętrzny; instynktowo otuliła się rękami, cofnęła krok, oddech się jej wstrzymał, uczuła zbliżające się niebezpieczeństwo i oczyma poczęła szukać opieki pani Lagrange, która stała w kątku, równie jak dziewczę przelekła.

— Czego pani chcesz odemnie? dlaczego się tak we mnie wpatrujesz?

— Patrzę i nasycić się nie mogę! odparła syczącym głosem piękna Anna.. Jesteś przesłizna moja panienko! ale ci to nie daje prawa jeszcze tak się patrzeć na ten portret.. Za wysoko sięgasz oczyma..

Julia uczuła w piersiach jakby gorące żelazo.

— Pani! cóżem winna?

— A tak! tyś nie winna, zawołała Anna miarkując się, tyś nie winna jak my wszystkie, i jak my padniesz ofiarą serca łatwowiernego.. Ty go kochasz?

— Pani!.. Julii słów zabrakło; łkanie przecisnęło się przez usta..

— Ty go kochasz? nieprawdaż?

— Jesteś to grzechem? może być niebezpieczeństwem? spytała Julia, odyskując przytomność. Cóż światu i pani, której nie znam, do moich uczuć i mojego losu?

— Mnie! ale ja cię chcę ratować, tyś nad brzegiem przepaści.

— Zkądże to miłosierdzie?

W tej chwili dwa wzroki kobiety spotkały się z sobą i Julia poczuła się już równą Annie.. Oburzyło się w niej uczucie godności.

— Czego pani chcesz odemnie? Co to wszystko znaczy? Dlaczego tu pani weszła? Kto panią wprowadził?

Anna nie spodziewała się tego zagadnienia; idąc czuła się tak wyższą, tak silną, zdawało jej się że tak z góry potrafi obejść się z wylekłą dziewczyną,



Julia na widok kasztelanowej uczuła w piersiach jakby gorące żelazo.

tem... W tym domku o kilku pokojach od roku już mieszkała Julia. Pani Lagrange uchodziła za jej ciotkę, a Folino i de Santis nie wiedzieli wcale o stosunkach pięknej dziewczeczki z księciem.

Stary Włoch wygadał się niepotrzebnie z uwielbieniem dla głosu nieznajomej dziewczeczki z Ujazdowskiej alei, i przez jego to paplanie o portrecie księcia Józefa, wiszącym w pokoju jej.. odkryto Julki mieszkanie.

Wszakże, wiedząc nawet gdzie się ukrywała, niełatwo się tam było dostać.. Pani Lagrange, surowa i podejrzliwa, obawiała się i księcia, i strzeżonej przez się dziewczeczki, i intryg miejskich, któreby spokojnym jej bytem zachwiać mogły. Furtka od alei otwierała się tylko na wieczorną przechadzkę, a od ulicy dla służącej i ogrodnika.. Klucze zawsze prawie nosiła przy sobie sama Lagrange.. Julka, której w tym zielonym gniazdeczku było dobrze, wcale nie utyskiwała na zamknięcie i odosobnienie, ciężko ono nieco Francuzce tylko, ale powoli przywykała do niego.

Nazajutrz około południa od drzwi ulicy zadzwoniono natarczywie; trafiało się to często przez omyłkę szu-

wołała Anna miarkując się, tyś nie winna jak my wszystkie, i jak my padniesz ofiarą serca łatwowiernego.. Ty go kochasz?

— Pani!.. Julii słów zabrakło; łkanie przecisnęło się przez usta..

— Ty go kochasz? nieprawdaż?

— Jesteś to grzechem? może być niebezpieczeństwem? spytała Julia, odyskując przytomność. Cóż światu i pani, której nie znam, do moich uczuć i mojego losu?

— Mnie! ale ja cię chcę ratować, tyś nad brzegiem przepaści.

— Zkądże to miłosierdzie?

W tej chwili dwa wzroki kobiety spotkały się z sobą i Julia poczuła się już równą Annie.. Oburzyło się w niej uczucie godności.

— Czego pani chcesz odemnie? Co to wszystko znaczy? Dlaczego tu pani weszła? Kto panią wprowadził?

Anna nie spodziewała się tego zagadnienia; idąc czuła się tak wyższą, tak silną, zdawało jej się że tak z góry potrafi obejść się z wylekłą dziewczyną,

iz teraz pojąć nie mogła, dlaczego wstyd jej było i jakis ogarniał ją niepokój.

— O! nie gniewaj się moja piękna panno, dodała uśmiechając się kwaśno. Jestem krewną, tak jak siostrą księcia.. przyszłam cię przestrzedz i ratować. Rodzina nasza nie ścierpi takiej miłości, takiego związku; książę jest lekki i płocho, nie chcemy też żebyś na niego i na nas narzekała.

W tém wszystkiém, bardziej jeszcze w głosie niż w wyrazach, było tyle płataniny, wahania się, sprzeczności, że Julii serce samo wskazało jakiś podstęp..

W miarę jak wielka pani traciła odwagę, ona jej nabierała.

— Jedném pani słowem odpowiem, odezwała się Julia. Pomiędzy mnie a księcia nikt nie ma prawa wchodzić. Książę jest wolny, jam swobodna, wiem że nas dzieli przepaść i patrzę na nią śmiało, bo to ramię, na którym wesprzeć się mogę jak na rękę ojca, przeprowadzić mnie może przez nią, ale nie wepchnię w nią nigdy. Ja mu wierzę. Czernisz go pani, zarzucając mu płochość. Jest płochym może z ludźmi płochemi, jest poważnym i surowym ze mną i dla mnie. Cóż zresztą komu do tego, że cierpieć mogę? Skarżyć się nie będę, a jeśli chwilę spokojnego i czystego szczęścia oplacę tęsknotą długą.. to mój rachunek z sumieniem i Bogiem..! Książę jest szlachetnym, książę jest dla mnie niczem więcej jak opiekunem i bratem, a choć świat w przywiązaniu naszym dopatry plam, przez oczy splamione, ja wyjdę czysta i spokojna.. Tak jest pani, kocham go, zgine dla niego, jeśli będzie potrzeba.. ale siebie i jego nie skażę narzekaniem. Co wam do mnie ubogiej i biednej dziewczyny? co wam do cichego mego szczęścia?

Anna stała, słuchała ze zdumieniem. Ta śmiałość, ten zapal z jakim mówiła Julia, były dla niej rzeczą tak nową, że się czuła upokorzona i zmieszana.

— Przepraszam, odezwała się wreszcie.. bardzo panią przepraszam. Spodziewam się że mnie przynajmniej nie oskarżysz przed księciem.

— Nie mam dla niego tajemnic.

— Moje chęci były jaknajlepsze.. nie myślałam że obrażę i narażę się, przyszłam tu.. ale się cofam.. Nie chcesz pani rady.. nie obawiasz się przyszłości.. tém lepiej.. ale strzeż się!.. strzeż się!.. Młodość nie umie ocenić życia, rzuca się zuchwale..

Julka wcale nie przeleżała się tych wyrazów, uczucie napędliało oczy jej łzami; podniosła je z wolna na portret księcia i dodała:

— Bądź pani spokojną.. Ten którego kocham, nie jest pospolitym człowiekiem, ani powszednim egoistą, wysysającym kwiaty motylem; więcej ja mu winnam niż poświęcić dlań mogę.. Z radością, ze szczęściem poniosę życie w ofierze.. i nie zakłócę ani jednej jego godziny.. Odepchnię mnie, pójdę w milczeniu i nie jęknę..

To mówiąc uklonem poważnym pożegnała Annę, która postawszy jeszcze chwilę, dosyć pomieszana i prawie zawstydzona, powoli wysunęła się z pokoju.. Julia padła na kanapkę zemdlną..

Z tego wejrzenia na Julia, na domek w którym mieszkała, na to male a skromne gospodarstwo wiejskie, Anna wyniosła tylko jedną naukę: zdawało jej się że książę aby kochać, potrzebuje miłość oprawić w ramki drewniane i bluszczem ją ustroić, że chce cichego, skrytego, jakiegoś sielskiego kochania. Płocha wietrznicą dostrzegła tylko lupinę, nie pojmowała istoty przywiązania i tego co je rodziło.

— Ale ona wcale nie jest tak piękna, mówiła wracając do siebie, sądziłam ją daleko ładniejszą; ręce czerwone.. choć zresztą male i kształtne.. coś pospolitego w postaci.. trochę młodości, nie lękam się jej.. Książę chce widocznie sielanki. O! potrafię przecie i my ją skomponować..

Z głową rozplątowaną wpadła do domu, a przed bramą zastała właśnie *Dziobatkę*, która odjeżdżała nie zastawszy jej. Wychyliła się z karęty przywołując przyjaciółkę i obie razem weszły do salonu. Na twarzy Anny malowało się niezwykle uczucie.

— Nie powiesz nikomu? szeptać zaczęła gospodyni, zatraskując drzwi gabinetu. Słowo..

— Najświętsze!

— Słuchajże! widziałam ją! byłam u niej!

— U kogo..?

— U kochanki Pepi. Doszłam, dotarłam, widziałam ją własnymi oczyma.. wiem wszystko.

— Al! mów! mów! jakże to wygląda?

— Fantazyja dziczącego człowieka.. niby sielanka! zaczęła żywo, nieporządnie opowiadać Anna, mieszkając to co widziała, co chciała zrobić, co sądziła i co się jej zdawało.

Widzenie się z Julią, rozmowa z nią, w ustach kobiety której głowa zawsze czynniejszą była niż serce, przybrało dziwne rozmiary i charakter; zrobiła z nie-

go naprędce scenę dramatyczną, przekreśloną, uzupełnioną i artystycznie doszatkowaną.. Co szczególna, że własna Anny kompozytka, zmieszana ze wspomnieniem świeżem jeszcze, utworzyła dla niej nieprawdziwą prawdę, w którą jaknajświęciej uwierzyła.

Dziobątka słuchała trochę niedowierzająco, ale dosyć sympatycznie..

— Wiész co uczynię? dodała w końcu Anna, natychmiast najmuje domek w alejach; stroję go, przebięram się za dziewczkę prostą, i jestem pewna że księcia Józefa mieć będę, że mu się oczy otworzą... *Elle est si commune!*

— Czekaj! myśl lepsza daleko, przerwała przyjaciółka. Oddalić tę panienkę, a zając jej miejsce.. zastanie ciebie w jej miejscu, to się przyczyni do wrzenia; ona mu się już też znudzić musiała?

— Pst! pst! cicho i tajemnica jaknajwiększa! Zobaczymy!

Potém trwały jeszcze długo narady, i przyjaciółki rozesyły się w jaknajszczęśliwszym usposobieniu, całując się serdecznie, co dowodziło że jedna drugiej były w tej chwili potrzebne.

Przez kilka dni nie nowego nie zaszło. Julia, przechorowawszy odwiedziła Anny i długie omdlenie, na usilne prośby pani Lagrange, która się obawiała aby jej książę nie oddalił i za opieszałość się nie gniewał, postanowiła zamilczeć o całej tej scenie, która na długo zostawiła w jej sercu smutek i jakieś zwątpienie. Gdy książę przybył wieczorem i zastał chorą Julią, wytłumaczyła mu się z tego zaziębieniem, gorączką; domyślał się wprawdzie czegoś, ale Julia starała się usunąć podejrzenia. Nazajutrz rano przyjechał Lafontaine i nie nie znalazł prócz nerwowego podrażnienia i osłabienia; szepnął księciu że przyczyną słabości nie musiał być zaziębienie, ale jakieś uczucie, jakiś wpływ moralny..

Podwoił książę czułości, starania, wesołego humoru, aby te chmury rozproszyć, a na trzpiotostwie i dowcipie nie zbywało mu; ale ta przymuszona wesołość zdawała się powiększać jeszcze smutek Julii.

— Cóż się tu stało? mówił w duchu książę. Starzał się rozpytać Francuzki, ale wylekła staruszka zaklinała się na wszystko, że nie pojmuje co mogło być przyczyną smutku, że żadnej widocznej przyczyny nie wie i t. p.

Staroście Zabielski od owej wieczornej wizyty w domku przy alei Ujazdowskiej chodził także jakby opętany.. Dowiedział się od Anny o mieszkaniu Julii, zdawało mu się że się w niej kocha i począł myśleć o środkach zapoznania się i zbliżenia. Anna, bardzo tę myśl prędko odgadłszy, popierała ją, rachując że i to na coś przydać się może.. Ale starania Zabielskiego aby się dostać do domku, który pani Lagrange strzegła teraz z podwojoną czujnością, do niczego doprowadzić nie mogły. Wieczorami często godziny całe wartował staroście pod bramą, aby spotkać te panie wychodzące na przechadzkę, ale i to mu się nie udawało.

— Z jednej strony starać się aby Julią zbałamucił staroście, z drugiej samej się podstawić w jej miejsce, to mój plan.. Nie może się nie udać! mówiła Anna.

— Musi się udać! dodawała Dziobątka.

I spiskowały zajadle..

Tego wszystkiego ofiarą padł tylko nieszczęśliwy Zabielski, któremu napróżd zapaliła się głowa, od głowy zajęło się serce, a od niego poszedł pożar dalej, tak że biedny młodzieniec chodził jak zwarzony..

Książę Józef łatwo się domyślił uczucia.

— Kochany staroście, rzekł mu na ucho jednego razu na wieczorze u Potockich, przestrzegam cię żebyś mi w drogę nie wchodził.. Strzełam nieźle i ręczę ci że do serca człowieka, któryby mi chciał wydrzeć szczęście moje, nie chybię.. Spokój tej kobiety droższy mi nad wszystko! Jeżeli uczciwy człowiek i trochę znasz świat, nie myśl o żadnych intrygach.. *à bon entendeur salut!*

Ale staroście ulać się nie mógł, a niebezpieczeństwo zwiększyło tylko namietność.

Przez czas jakiś wszystko zdawało się w zawieszeniu; roboty były tak skryte, iż nici ich prawie na wierzch się nie pokazywały. Anna dla uspokojenia księcia Józefa, który ją podejrzewał o intrygę, udawała najzupełniejszą obojętność; zmieniła tylko nieco gusta i starała się okazywać jaknajskromniejszą, głośno odzywając się z upodobaniem w prostocie. Strój jej zakrawał nieco na pasterki Boucher i Watteau.. Kwiatek we włosach, biała sukienka, wstążka gładka, ubierały wielką panią, której z tém, wyznać potrzeba, dosyć było ładnie. Ale książę zdawał się nie dostrzegać zmiany. Tymczasem niespokojny staroście pracował; głowa mu się coraz mocniej paliła.. Nie mogąc dostać się do domku w którym mieszkała Julia, przełaził przez mur o mroku i jak złodziej wartował pod oknami, aby przez uchyloną zasłonę choć jej twarzyczkę zobaczyć. Widział ją przy robocie, przy klawikordzie; gonił nadaremnie po przechadzkach; zbliżyć się nie mógł. Przypadek, który miesza się często do spraw ludzkich, zlitował się wreszcie nad niedolą starościa. W Warszawie bawiła u pp. sakramentek zamieszkała stara guwernantka, która wychowywała siostrę Zabielskiego. Była to przyjaciółka ich domu; staroście czasem ją odwiedzał z polecenia matki. Raz w czasie tej krótkiej wizyty, stara poczęła się przed nim użalać na osamotnienie i nudy; starościna ją do sakramentek wysłała, ale Francuzka nie godziła się z życiem klasztornym, tęskniła za światem i życzyła wynieść z pod klauzury.

— Gdybym znalazła siostrę moją, o której dobrze wiem że jest w Warszawie, mówiła, mieszkałybyśmy razem.. Ale gdzie się ta Lagrange podziła, nie mogę dosledzić.

Poszukując siostry starej guwernantki, Zabielski wpadł na trop i dowiedział się że Lagrange mieszka przy Julce. Ostrożny, nie zawiadomił o tém od razu starej przyjaciółki, ale obrachował że ten zbieg okoliczności może pomódz jego zamiarom. Podjął się sam poszukiwać, pośrednictwa, i tak dostał się do domku Julii.. Wielka miłość uczyniła go zręcznym dyplomatą.. Lagrange, która także oddawna szukała siostry, dała się uwieść nadzieją znalezienia jej i trochę o niebezpieczeństwie grożącym Julii zapomniała..

Jednego wieczora wpadł Zabielski do Anny, z oznajmieniem że wszystko było gotowem.

Co? zobaczymy zaraz..

Gdy Anna w prostej białej sukience muslinowej siadała do powozu, Zabielski puścił się w czwał ku Mokotowu..

Piękna Anna długo szukała stanowczego środka oderwania księcia Józefa od tego dziewczęcia, które uznała pospolitą, niegodną takiego szalonego przywiązania.. i sama, jak mówiła, przez czystą miłość ludzkości, chciała się poświęcić, aby wydrzeć z serca bohatera uczucie, tak szkodliwe pociągnąć mogące za sobą następstwa..

Plan jaki ułożyła piękna pani był wcale oryginalny.. Postanowiła oddalić Julia jakimkolwiekby sposobem, a sama zając jej miejsce. Nie wątpiła że książę ujrawszy ją w tym domku, w stroju prostym, zniżając się dlań i przetwarzając się na prostą dziewczkę, gwałtownie roznamietnieć musi. Z drugiej strony staroście miał porwać Julią.. Spodziewał się że dziewczę go pokocha.. Wszystko zostało ukartowane jaknajlepiej. Julia wśród przechadki miała się do powozu z panią Lagrange, a powóz, mimo jej woli i wiedzy, uwięzić ją do domku przygotowanego przez starościa. Na nieszczęście pięknie osnute projekta, niewiedzieli jak, zostały odkryte, choć pilnie starano się aby w jaknajwiększej pozostały tajemnicy.

Gdy Zabielski, dawszy znać przed wieczorem Annie, sam dopadł koni i pogonił za mniemaną Julią, która uwieczoną być miała, Julia tymczasem jechała za wiedzą księcia do Jabłonny.. Zabielski gonił tylko powóz, w którym siedziała stara guwernantka jego siostry..

Anna pośpieszyła do tego domku, w którym marzyła już scenę z księciem, mającą być pierwszą dramatu, osnutego napróżd i pełnego wdzięku jak obrazek Bacciarellego.. Dojechawszy do alei, z bijącym sercem weszła do pustego domku, który zdawał się być przygotowanym na jej przyjęcie. Wszystko tu tchnęło ciszą, spokojem i szczęściem sielankowym, które przed chwilą zeń uleciało.. Na klawikordzie leżał jeszcze otwarty zeszyt Mozarta.. Bukiet półzwiedły stał na stoliku, książka założona wstążką białą na kominie.. Anna urządziła spotkanie, obmyśliła jak miała usiąść, aby książę od razu jej twarz nie postrzegł, jak miała ułożyć postawę, ręce, głowę, aby się jaknajwdzięczniej o oczom jego objawić..

Za każdym szmerem odwracała głowę i w oczach się jej śmilo; szukała wyrazów któremi powitać go miała.. Wyobrażała sobie zdumienie, rozpromienienie, upadnienie do nóg, zalamane jego ręce.. piękne oczy czarne zwrócone ku niej, i.. po chwili niepewności, przebaczenie, któremu go po dobrej nauce moralnej obdarzyć miała..

Abysmy następną scenę zrozumieć mogli, potrzebuje wspomnieć o postaci, która w domu Anny najmniej była widoczną, w życiu jej bardzo podrzędna grała rolę, a przecież zwała się mężem i panem. Mąż i pan ów był w całym znaczeniu wyrazu człowie-

kiem swojego czasu, typem wszystkich jego wad i słabości.

Zwał on się kasztelanem, ale trudno w nim było poznać potomka hetmanów i wysokiego dostojnika Korony, tak z cudzoziemska wyglądał. Od młodu wychowany na saskim dworze, pół-cudzoziemiec, nauczył się po polsku dopiero w późniejszym wieku i mówił wcale niepoprawnie, sztukując nieustannie wyrazami, których w rodowym języku mu brakło, braniem z niemieckiego lub francuskiego. Europa, która młode jego wykołysała lata, napoiła go największą wzdącią dla domowego żywota, obyczajów, języka i stroju. W kraju wszystko mu się wydawało szkaradnym, śmiesznym, barbarzyńskim; prawil nieustannie o postępie, o świetle, ale zarazem dla uspokojenia sumienia uznawał, że on był, *dans les circonstances présentes*, zupełnie niepodobnym. Nim więc miała się rozpocząć praca około zupełnego przerobienia społeczeństwa na kopyto zagraniczne, kasztelan najwłaściwszym znajdował nie nie robić i bawić się.

Ożeniwszy się z Anną, równie dla jej piękności jak dla znacznego posagu, zaraz w intercyzie przewidział możliwość rozwodu, ale unikając go, gdyż byłby mu zaszkodził wielce w kredycie i interesach, żył z żoną wedle ówczesnej najświeższej mody. Małżeństwo wprowadziło zamieszkiwało pod jednym dachem, ale miało dwa własne gospodarstwa, zupełnie oddzielne: pani swój dwór, pan swych przyjaciół, swe zajęcia. Często Lardzo nie widywali się całymi tygodniami; spotykając się w gościnie, przemawiali kilka słów i rozbiegali się w różne strony, nie pytając wcale co robili. Oboje zostawili sobie zupełną swobodę. Pan miał konie, ekwipaż, apartamenta osobne; pani swe kółko, kuchnię, usługi, konie, pokoje, do których mąż się wcale nie mieszał. Oboje tylko spotykali się z rachunkami u Teppera i Kabrit'a, a w razach zawiąknę piennych, odbywali konferencję krótką, która się kończyła wdzięcznym uśmiechem i pocałowaniem ręki. Czas gorącej namiętności przeszedł bezpowrotnie, została przyjaźń chłodna; a że pożycie to nie skomplikowało się potomstwem, nie było dziś innego węzła między niemi, nad wspólne interesa i względność wzajemną. Kasztelan w towarzystwie był człowiekiem bardzo miłym, wykształconym, nawet rozsądnym, gdy o cudze chodziło sprawy; do swoich nie posługiwał się wcale tym chłodnym narzędziem i był posłusznym niewolnikiem chwilowych namiętności. W gruncie wyżyły i wystygły, obojętne na wszystko, prócz siebie, przez kalkulację tylko nie popełniał ani nieprzyzwoitości, ani zdradzieństwa wielkich, które zawsze życie męczy; znajdował że najlepszą rachubą było okazywać się o ile możliwości uczciwym i łagodnym człowiekiem. Lubiono go powszechnie, ale wiedziano że na niego rachować nie można, i nie używał też wcale wziętości. W towarzystwach nieznaczącą grał rolę. Życie jego zresztą upływało, poza widocznymi szrankami urzędowej jego egzystencji, przy jakiejś Włosze śpiewaczce, przy przyjaciółce wojewodziny, dla której miał przywiązanie niewytłumaczalne i niezrozumiałe dla nikogo, jakąś potrzebę serca, a głównie przy stołach gry, gdyż kasztelan namiętnym był graczem. Ta passya pochłaniała czas, pieniądze, spokój, zdrowie, wszystko... i wprędce nawet na zdziennienie umysłu wpłynęła. Całe noce grano u niego, lub on grał u drugich, a często różnica w grze wynosiła tysiące dukatów. Kasztelan nie był nieszczęśliwym graczem, ale zdarzało mu się przegrywać wszystko, aż do solitera, który nosił w zabocie i tarantowatego cugu, którym jeździł.

Takim był ów mąż Anny, którego ona zwała zwykle najlepszym swym przyjacielem, ale z nim widywała się jaknajmniej i jaknajkrócej. Zresztą żył z sobą w najczulszych stosunkach wygasłej miłości, zastąpionej wspomnieniami...

Kasztelan był tego wieczora u Ponińskiego na faraonie i zabił się grubo stawiać, gdy tajemniczym bilecikiem znać mu dano, że go ktoś nieznamy oczekuje na drugim końcu miasta. Wcale to było mu nie na rękę, ale bilecik zakrawał na awanturkę kobięcą, a kasztelan łakomy był na tego rodzaju coraz nowe przygody. Posadziwszy na swym miejscu stryjeczego brata, siadł do karty i poleciał do furty, którą mu nieznamy człowiek, oddawca listu, miał wskazać...

Napróżno go rozpytywał, posłaniec milczał jak mur. Galopem jechali w aleje...

— Ani chybi, pewnie się komuś zamarzyło ostrzedz mnie o jakiejś niewierności mojej Marynety, jak gdybym ja się tego nie domyślał i nie przeczuwał... O! co to za śmieszni ludzie... Albo może Rozyna mnie wabi; bo ostatnią razą w teatrze rzuciła na mnie wzrokiem pełnym obietnic najśłodszych...

Kasztelan w tych domysłach dojechał do furty

i wszedł do ogródka, przez który go przeprowadzono. Gałęzie drzew pomieły mu nieco fryzurę i podrapały suknie; wilgoć dała się czuć przez delikatne trzewiki. Nareszcie obłany rosą wieczorną ujrzał światło, otworzono mu drzwiczki i z ciekawością gorącą wszedł do pokoiku...

Jedna świeca woskowa mdle po nim rozlewała światelko. W kątku odsuniona nieco ode drzwi, w białej sukni ukazywała się siedząca postać kobięcia... nikogo więcej.

Była to, jak się łatwo domyśleć można, piękna Anna, która w przechodzącym spodziwała się ujrzyć księcia Józefa. Serce jej biło mocno; chciała conajrychlejsz zwrócić głowę i wahała się jeszcze... Kasztelan wchodził na palcach, oglądając się.

— Sama! a więc *rendez vous*... Ale to nie Rozyna! Któż to być może?

I zbliżał się na palcach...

— Prześliczna figura!... co za rączki!

Piękna Anna obejrzała się w tej chwili i kasztelan zdrętwiał ze zdziwienia, postrzegłszy... własną żonę... Przestraszył i zdumienie Anny niemniejsze było, ale w tej chwili zręczna kobieta zmierzyła myślą swe położenie, przeczuła krwawego figla jaki jej wyrządzono i postanowiła wyjść z niego zwyciężką. Twarz jej na chwilę tylko uległa wrażeniu trwogi i niepewności; siłą woli wywołała na nią zaraz uśmiech, który rozległ się wesołą i doskonale odegraną radością...

— A! kasztelanie! zawołała, jużś też tak o mnie zapominał, że musiała aż do figla się uciec, aby cię tu zwabić... i choć chwilę sam na sam z tobą przepędzić... Nieprawdaż? doskonała sztuka!

Kasztelan jeszcze nie mógł przyjść do siebie; twarz jego z trudnością rozjaśniła się; pocałował w rękę żonę, która drżała jak on, i usiadł przy niej, ociężając pot z czoła...

— Ah! *c'est parfait!* zawołał z przymuszonym grymasem.

— O! pomszczę się! pomszczę! cicho szepnęła Anna...

Cała Warszawa nazajutrz podawała sobie na ucho zabawną historią tej niespodzianki...

Równie wielkiego doznał zdziwienia staroście, gdy w urzędowym wykwinie domu zamiast Julii, zastał starą guwernantkę swę siostry, nałownie przyjmującą cały ten zachód na swój rachunek, jako dowód wdzięczności rodziny. Z początku stał chwilę, gryząc sobie usta, blizkim był wybuchu, ale zmiarkował że w takich razach lepiej jest i rozumnie pogodzić się z losem i z uśmiechem przyjąć jego igraszkę...

— Jest to zdrada której nie daruję nigdy! Jutro całe miasto szydzić będzie ze mnie... Stanę się pośmiewiskiem... to szkaradnie... to ohydnie...

Rozplakana Francuzka, błogosławiąc go i okrywając epitetami najwyszukaniejszemi, pełna wdzięczności, której tak niespodziany odebrała dowód, wstrzymała starościca, przyjmując go jakby u siebie i nie dając mu się wyrwać przykrym oświadczeniem, na które czuł że wcale nie zasługiwał...

Nareszcie napiwszy się herbaty, zamyślony, kwaśny, ale znacznie ostygły, Zabielski powrócił do Warszawy. Kazał pakować natychmiast i o świcie wyruszył do Paryża, nie pokazując się już nigdzie...

O Julii i o księciu wszyscy jakoś mówić przestali...

Nazajutrz, jak zwykle, książę pokazał się w swym ekwipażu na alejach, wesoły, spokojny, piękny jak Apollo. Oddał wizytę Annie, której w domu nie zastał; był u Dziobatej, która go przyjęła mówiąc mu o polityce, o wojnie, o przyszłym sejmie i pożegnała ceremonialnie; odwiedził na ostatku kasztelana, winszując mu zbliżenia się do żony, co ten przyjął dosyć ozięble...

Wieczorem widziano go na reducie.

W rok potem... książę Józef zniknął na dni kilka z Warszawy i powrócił błądy, smutny, cierpiący... Domyślano się jakichś cierpień sercowych, ale najgłębsza tajemnica okrywała jego czynności...

Na powązkowskim cmentarzu spostrzeżono go wkrótce potem, przy poświęceniu grobowca skromnego, który niewiadomo czyje pokrywał zwłoki. Składał się on ze złamanej kolumny, obwitej bluszczem; na tablicy u spodu stało jedno imię tylko:

Julia.

Zmarła dnia... roku 179.

Znajdziemy się za światem!

KONIEC.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

O Towarzystwie przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie i wystawie tegorocznej.

(Spóźnione).

(Korespondencya z Krakowa.)

Skarb który leży w odwiecznym pokładzie ducha narodu nigdy nie zaginie, a podjęta około niego praca może napotykać tysiączne trudności, lecz w końcu zawsze odniesie pożądany skutek, jako nieomylną nagrodę każdego wytrwałego usiłowania.

Taką kolej przechodzić poczyną u nas sztuka. Zrazu nadpieszczona, później odrzucona, w sierocym stanie, odzyskując w głębi swego boskiego pochodzenia siły do życia, po trudach i zaporach, wspina się do coraz większej doskonałości i staje się coraz żywszym świadectwem bogactwa duchowego w narodzie naszym. To też nie z próżnej fantazyi, ale kierowany wzniósłszym poczuciem, poznał kraj potrzebę przyjścia jej w pomoc godną opieką; a naród winien tym wdzięczność, którzy pierwsi odgadli jego instynkt i przyłożyli rękę do założenia Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych.

Każda nowa instytucja przejść musi trudne chwile początku, zanim wejdzie na pewną drogę: więc nie dziwnego, że ten sam los spotyka i tutejsze Towarzystwo, nie mogące na pierwszym wstępie *na utarty gościniec trafić* i odrazu pochwycić gruntu dla zrealizowania zakreślonych projektów. Prócz tego żadna instytucja u nas nie może się zamknąć w granicach specjalnego działania i w ciśniejszym rozmiarze dążyć do doskonałości, ale tłoczona uprzejwym naciskiem rozmaitych nieszczęśliwych wpływów, musi się spacyfikować i zboczyć z kierunku wytkniętego.

Zdawało się, że po jasno wypowiedzianym programie zyczeń kraju, co do wspierania sztuk pięknych, niepodobna będzie zbłądzić z drogi wskazanej; a mimo to, chociaż na czele sprawozdań wycytujemy orędownictwo, o jakimś sztuka nigdy i nigdzie zamaryć nie zdołała, w rzeczywistości inaczej się dzieje.

Niejednego z akcyonaryuszów, nie mającego sposobności widzieć wystawy krakowskiej, jeśli spojrzysz na ściany i zobaczysz jakąś lichotkę, a jeszcze do tego niemiecką, niekoniecznie trudną do wygrania z zakupień tutejszych, opuszcza może wiara w przyszłość sztuki krajowej; ale widać mocno mu zależy na monumentach *gloriae patriae*, które go na samym wstępie tak hojnie poczęstowała dyrekcyja, kiedy przy tak szczupłej perspektywie, nie odmawia datku agentowi, zapewne równie zafrasowanemu.

Nie chcemy się zapuszczać w różne domysły, jakie przypadek wspomniany mimowolnie nastrocza, mianowicie gdy dyrekcyja sama odgaduje, że zakrój kupiecki, jaki panuje w podobnych instytucjach zagranicznych, zwłaszcza przy innych warunkach rozwoju, tamtejszej sztuce wcale nieszkodliwy, nietylko się nie zgadza z obyczajem i usposobieniem narodu naszego, ale budzi w początkach nawet obawę o przyszłe powodzenie.

Tegoroczne sprawozdanie pocieszającym jest zawsze o tyle, że Towarzystwo, chociaż tak dumnie spogląda na powiększoną liczbę akcyonaryuszów, przecież nie dowiezła żeby się duch spekulacji, mimo dziesięcioletniego trwania instytucji, zupełnie już przyjął wkrętu, i dalej, że nie zapomina, iż zarząd instytucji przecież w jakimś stosunku zostawać powinien ze sztuką, kiedy wzrost jej ofiaruje w danku za poniesione trudy chętnych agentów.

Jeśli się dyrekcyja nie myli w rozumieniu usposobienia kraju, to my, mając przed oczyma smutne oddziaływanie jej na sztukę, mimo odprawionego jubileuszu, przewidujemy niekoniecznie świetny koniec tej w teraźniejszych naszych stosunkach bardzo zbawiennej instytucji, szczególnie wtedy, gdyby zarząd nie ustąpił od nie wytłumaczonego swego systemu działania, ale z lekceważeniem stanowiska zajmowanego, ciągle się mijał z celem mu wskazanym i przeniewierzał się zaufaniu powszechnemu w nim położonemu. Administracyi mechanicznej, z wyjątkiem krótko trwających wystaw, oddajemy należytą służność; ale czy w warunkach ścisłej sztuki dotychczas, przy takim sposobie widzenia, jaki dotychczas w sferze zarządu panuje, odpowie oczekiwaniom i wymaganiom, to nam, którzy niekoniecznie w piśmiennych sprawozdaniach szukamy rezultatów działania dyrekcyi, zdaje się nietylko wątpliwym, ale nawet zupełnie niepodobnym.

Żądania nasze nie przechodzą wcale granic możliwości, i nikt, jak w samym początku tak i dziś, nie spodziewa się od tej instytucji, nawet najumiejętniej kierowanej, ostatecznego zaspokojenia potrzeb naszej sztuki; ale kiedy ten pierwszy zarodek godniejszego

i poważniejszego dążenia grozi nie-
dojrzeniem, trudno nie przerwać mil-
czenia.

Na wystawie tegorocznej, należą-
cej pod pewnym względem do naj-
świetniejszych, widzieliśmy, że wła-
śnie talenta, które nie należały do
rzędu ulubieńców dyrekcyi, otrzyma-
ły berło pierwszeństwa, kiedy prze-
ciwnie protegowani padli ofiarą nie-
rozważnej i zanadto względnej opie-
ki: chyba, że się nasze Towarzystwo
pociesza rozkwitem sztuki niemiec-
kiej, dla której otwarte zawsze ma
ręce.

Przyczyn tego smutnego spostrze-
żenia trzeba było bardzo daleko szu-
kać, gdyż korzenie złego głęboko się
zapuszczają; lecz nam, chcącym się
utrzymać tylko w kole atrybucyj
instytucyjnych, wydaje się, że To-
warzystwo za wysoko sięgnęło w
swoich zamysłach. Ile sobie bowiem
przypominamy z zapowiedzi wstęp-
nego programu, zapragnęło ono pa-
nowania nad samą sztuką. Rozstrzy-
gać nie chcemy, czy już w samem
założeniu tak przesadnym nie ulagł
się robak, stary i dawny nasz gość,
toczący zuchwale żywotne soki tej
drobniuchnej ale wielce użytecznej
instytucyi.

Zaprawdę, niewiele tu brakuje do
śmieszności. Jestto coś podobnego,
jak gdyby księgarnia lub wydawnict-
wo jakie zapowiedziały nową erę w
literaturze. Chcieć ogarnąć usiłowa-
nia wieków, nie świadczy to o dzi-
wnej niedojrzałości intelektualnej?
a w instytucyi publicznej jestto po-
niekąd wyrazem chorowitości mo-
ralnej, pochodzącej ze skażenia spo-
łecznego.

Ale prawie równocześnie, jakby
dla ironii, pojawił się głos pioru-
nującego proroctwa, zaprzeczający
sztuce polskiej wszelkiej możliwości
żywoła, sztuce, nad którą Towarzy-
stwo sztuk pięknych w Krakowie
zapanować i ster jej w rękę pochw-
cić zamierzyło.

Pojmujemy i dzielimy w zupełności uwagi autora
brozury: *Sztuka w Polsce*, wyroczniom jednak jego
niedowierzamy. Rozwiązanie zadania takiego leży w rękach
Opatrzności. Potrzeby narodów zapisane są w księgach
przeznaczenia dziejowego, i zaledwie wie-



Skromny grobowiec na Powązkach pokrył zwłoki Julii.

że nam z wielką ostrożnością nale-
ży wywoływać z zapomnienia słowa
Rzymianina: „*Excudent aliae gentes*“
etc., które krytyk usiłował za-
dać śmiertelny cios sztuce polskiej.

Intencja szlachetna odniosła w
końcu pożądane zwycięstwo. P. Klacz-
ko piorunem słowa zdruzgotał jedną
z tych nierzadkich u nas monomanij,
które sparaliżowaniem pracy zbioro-
wej, (tej najtrwalszej podstawy innych
narodów) jakby na nieszczęście kra-
ju jedne po drugich bez przerwy
po sobie następują.

Czemż atoli wśród ciszy i prze-
rażenia, z jakim publiczność przy-
jęła wyrok zagłady sztuki, towarzy-
stwo naszych Prometeuszów nie pod-
niosło głosu w jej obronie? Czemż
potężne swem znawstwem i ziami-
rami, nie odbiło skutecznie ciosów
napaści? Towarzystwo, uważając
walkę z zwyczajnym śmiertelnikiem
za trudniejszą niż z bogami Oimpu,
osądziło w swęj roztropności, iż naj-
lepiej zrazu zamilknąć. Dziś jednak,
kiedy opuszczona od niego sztuka
przetrwala szczęśliwie grożące prze-
silenie, a postępem świetnym, wy-
pielegnowanym i wzniesionym przez
artystów surowo i sumiennie swe
powołanie pojmujących, sama niwe-
czy zawczesne wyrocznie,—dziś To-
warzystwo sztuk pięknych w Krako-
wie znowu wychyla głowę i znowu
wyciąga opiekuńcze swe ramiona;
taka bowiem dążność, jeżeli tej na-
zwę tutaj użyć można, przebija się
według naszego zdania w tegorocz-
nej mowie sprawozdawczej. Zawsze
się jednak cieszymy z ustępstwa ja-
kie tam uczyniono cywilizacyi, gdyż
subtelna ta różnica od pierwszego
programu, świadczy o postępie, wró-
żącym nam dobrze o przyszłości.

Jeżeli zasługi nie poezną się na-
wzajem szanować, wszelkie usiłowa-
nia obrócą się wniwecz i nigdy nie
dojdziemy do tej wielkiej hierarchii
pracy i zasług, która jedynie tylko

wprowadzać może ład organiczny w społeczeństwo. Wiel-
ką wadą tutejszego Towarzystwa jest encyklopedyzm; u-
mysły obfite szukają w nim zaspokojenia swoich pra-
gnień; ale niewypóbowanie sił w praktyce specjalnej,
zatrzymuje, z małemi wyjątkami, prawie największą
ich liczbę przy progu doskonałości, a co paismutniejsza
(Ob. dod.).

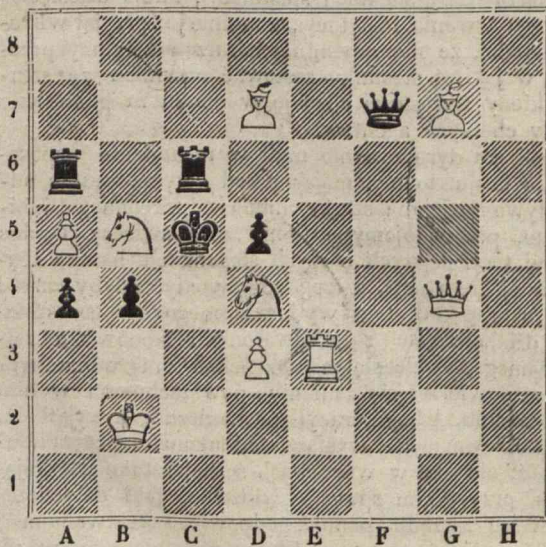
SZACHY.

ZADANIE CLXXVII.

(X. Y. w Warszawie.)

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 176.

Białe.

Czarne.

- 1) E 7—E 4 † . 1) E 4—E 4 biorą.
- 2) F 6—C 3 . . 2) Szachować mogą królową
w dwóch, lub wieżami w
trzech punktach.
- 3) B 3—C 4 lub D 2 † odkryty i mat.

szczym duchom dozwolono zajrzeć w ich głębie i roz-
świecać chwilowe zaciemnienia w ich pochodzie.

Praca święta, praca wieczna odkrywa ciągle po-
trzeby, i smutna zaprawdę przyszłość każdego narodu,
u którego wyczerpuje się odwieczny pokład jego
żywności. Taka próżnia jest razem wyrokiem śmierci.
Nadmiar pracy nas nie zgubił i pewno nie zgubi.

Zastraszającą powódź miłośnictwa sztuki, które by-
ło chwilowym szalem znudzonego próżniactwa, pan
Klaczko, oddalony od kraju i jego stosunków, wziął
cokolwiek za seryo. Znakomitę piórem swoim krytyk
ten przysłużył się nawet sztuce, odstrasząc
od niej natrętnych Medyceuszów, których nietylko prze-
rażało grożące ojczyźnie niebezpieczeństwo, ile raczej
bojaźń śmieszności: odbiegli ją więc natychmiast, wi-
dząc błędną gwiazdę ich czczego mecenasostwa.

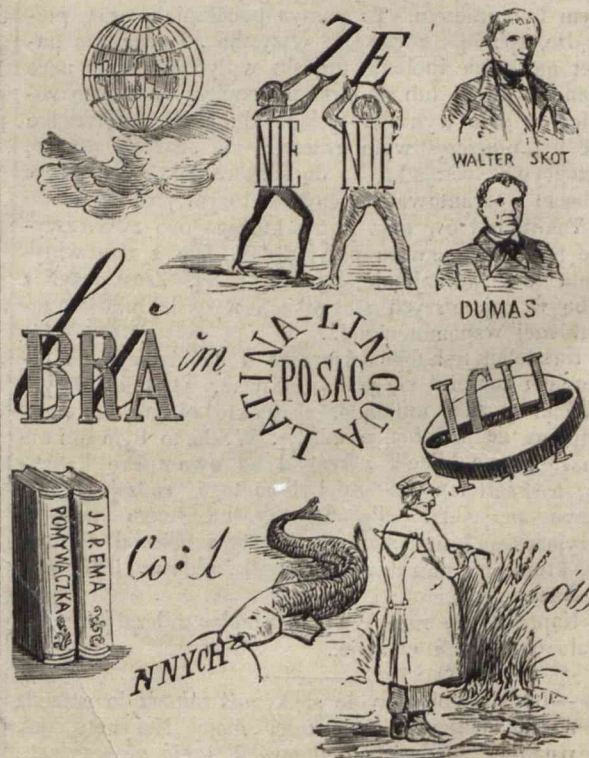
Przyznając głębokie studia estetyczne pracy p. Klacz-
ki, na historyzoficzne wywody zgodzić się nie możemy;
nie przypuszczamy bowiem, aby się Polska tak da-
lece zdenerwowała, iżby jej sztuka mogła dosięgnąć
wzrostu sztuki francuskiej. Sądźmy że te pragnienia
nie są znów tak bardzo niebezpieczne.

Jeżeli p. Klaczko na to się zgodzi, to jako badacz
ściśle krytyczny, wie o tem doskonale, że moralną
potęgę dzisiejszą Francya winna pracy, która tam
prędzej rozwijała się, mając rozległą podstawę w in-
stytucjach komunalnych; odziedziczonych po Rzymia-
nach. Powątpiewam także, aby p. Klaczko uważał hi-
storyę cywilizacyi naszej za zamkniętą. Jeżeli nie-
bezpiecznym jest wielce zasłaniać tarczą patryoty-
zmu niedostatki i ułomności własne, to nierównie
niebezpiecznijszym wieść pod tym sztandarem na-
ród na bezdroża, które komuś wydawać się mogą
bitym gościńcem.

Pomiędzy drobniuchnemi, a ruchliwemi państw-
kami starożytnej Grecyi i średniowiecznej Italii, a da-
wną Polską, która szerokiem korytem rozpoczła
szlak swój w dziejowości, niema i być nie może naj-
mniejszego podobieństwa.

Pierwsze nasiona cywilizacyi wszędzie były egzo-
tycznemi, a sam chrześcijaństwo, chociaż niekoniecznie
zgadzał się z duchem starego Rzymu, przecież na
kapitolu zatknął krzyż zbawienia. Kamienny posąg
gladyatora rzymskiego niechaj p. Klaczko przypomni,

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 213.

Śczęście nieraz więcej waży na świecie, jak głowa
i serce.

(Dodatek.)

wyradza pretensją do wszystkiego. Najbardziej zaś narazona jest na nią sztuka, bo jeśli jeszcze inna gałąź umiejętności specjalizmem swoim odstraszy od siebie profana, to sztuka specjalnością właśnie wszystkich do siebie wabi. W poezji, w muzyce, jeszcze się nie jeden obejrzy za sądem krytyki kompetentnej, ale w malarstwie niemal każdy uważałby sobie za ułudzenie nieznaną rzecz, biorąc smak i znanstwo za jedno i to samo. Najznakomitsi badacze dzieł sztuki po ogromnych ledwo studiach przyszli do zgłębienia tajemniczego jej toku, i dziś zagranicą najslawniejsi malarze, pomimo stosów dzieł estetycznych i historii malarstwa, ciągle sobie głowy łamią nad zrozumieniem mistrzów wcześniejszych; a u nas pierwszy lepszy amator obcesem się wysuwa na arbitra, i z takim najtrudniejsza walka, jako z niemającym innej broni argumentacji, tylko to że mu się coś podoba lub nie podoba.

Ileż to dzieł znakomitych powyrzucanoby na mocy takiego sądu z różnych galerij!

Za pomocą analogicznego porównania da się wprowadzić wrodzony smak do tego stopnia wyrobić, że nie zagustuje w złym obrazie, podobnie jak ucho, przyzwyczajone do lepszej muzyki, fałszywych tonów nie zniesie: lecz gdy przyjdzie odszukać owych lekkich, mistycznych odcieni, czy to w kolorycie, czy w rysunku lub w pędzlu, które nieznacznie wyprowadzają dzieło z obrębu mierności, to natenczas tylko gruntowna znajomość rzeczy rozstrzygnąć może. Błędy w obrazie łatwo każdy dostrzeże, ale gdyby się go zapytać o zalety, nie potrafi odpowiedzieć szczegółowo. A cóż dopiero, jeśli w utworze jakim równoważą się warunki doskonałości z wadami, nie odejmującymi mimo to bezwzględnej wartości temuż dziełu!

Otóż podobną mglistość w znawstwie spotyka się w czynnościach rozpoznawczych Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie, i dość spojrzeć na zakupna, a mianowicie na tryb stosunkowego oszacowania obrazów, aby się utrwalić w tém przekonaniu. Czasami pojawi się taka niespodzianka szacunkowa, że zaprawdę trudno odgadnąć, czy nastąpiła przez niewiedzę, czy też przez uszczypliwość. Nie chcemy bliżej dotykać tej kwestji nader drażliwej, lecz to pewna, że gdyby przeważał umiejętniejszy i godniejszy sposób widzenia w sztuce, to nie zdarzałyby się niedorzeczności tak częste i tak zasmucające. Lecz sędziowie nasi tak niezłomną wiarę mają w przywilej swojej kompetencji, iż wątpić wypada, czyby usłuchali nawet głosu którego z koryfeuszów sztuki, uznanych przez nich, jak Szeffera lub Delaroche'a, gdyby mistrze ci wstali z grobu i incognito spróbowali robić im uwagi. Że dyrekcja oglądać się musi na rozmaite wymagania, krepujące ją w tej mierze, na to się każdy zgodzi; lecz popieranie diletantyzmu, i to z poniewieraniem prawie zasłużonych talentów, trudno policzyć do zasadniczych warunków instytucji, a licznymi przykładami można by stwierdzić, że się tak dzieje.

Nie pojmujemy również, dlaczego Towarzystwo z tak niesłychanym uporem zakupuje obrazki niemieckie, i to notabene z uposledzeniem nierównie lepszych prac krajowych; chyba dlatego, żeby te lichoty wiecznie spychać na wystawy tutejsze. Lepsze bowiem cokolwiek utwory, które się w początkach jeszcze pojawiały, nie znalazły powodzenia dla ceny nieprzystępnej, dziś już się zupełnie nie pokazują, a przy niebardzo pochlebnym mniemaniu, jakie w Niemczech powszechnie o nas panuje, trudno się spodziewać, żeby znakomitszy malarz swój obraz tutaj przysłał. Upadałby samemu projekt, za którym na początku wielu przemawiało, że przez dzieła zagraniczne będzie można wpłynąć na doskonalenie się młodych malarzy miejscowych. W pierwszych chwilach założenia Towarzystwa, gdy się nie można było odrazu obrachować z siłami artystycznymi w kraju, równie jak z wymaganiami publiczności, sprowadzanie tych licznych zastępów było jeszcze do wytłumaczenia; lecz od czasu kiedy przy postępie sztuki własnej, już niema potrzeby obawiać się ubogich wystaw, trudno-zaprawdę zrozumieć, dlaczego nie ustępuje ta uporczywa opieka dla cudzoziemczyzny.

Jeżeli administracji o to tylko chodzi, aby sciały tutejszej wystawy były jaknajgęściej zapełnione, (zwłaszcza że te płótna ze składów swoich za pierwszym wezwaniem zaraz nadciągają), to i w takim razie mija się z swoim celem, ponieważ ta dekoracja, o ile nam się zdarzało i widzieć i słyszeć, wcale nie zachwyca związających wystawę tutejszą.

Najwłaściwszą zaś przyczyną, dla której się administracja lęka utraty tych obfitych gości, jest taniość, która pozwala *mnogi* zapas zebrać do losowania; a ponieważ, według mniemania pomienionej administracji, jedynie perspektywa wygrania, chociażby najgorszej lichotki, jest najskuteczniejszym środkiem do

zyskania napływu akcyj, więc z tego powodu zakupuje także w dość sporych ilościach ramoty krajowe, a nawet, co trudnem jest do uwierzenia, rozmaite litografie z rozmaitych handlow.

Trudno teraz rozstrzygnąć, czy słusność leży po stronie administracji, czy po naszej; ale dla uniknięcia niepotrzebnego sporu, radzibyśmy usłyszeć jaśniejsze określenie jej teraźniejszych celów i widoków, i czy instytucja ma się przekształcić w tobole, któraby następczała tylko zyski loteryjnym graczom, czy też pozostanie nadal przy pierwszym zadaniu, którem, jeśli dobrze pamiętamy, było głównie podniesienie sztuki w kraju. Jeśli się już Towarzystwu nie powiodło, jak sobie zamierzyło, rozbudzić wzniolejszego polotu artysty, to niech przynajmniej nie skrzywia w kraju poczucia dla piękna, jak również niech się to nie dzieje pod zasłoną szlachetnej opieki, którą Towarzystwo ma zawsze w odwodzie. Jednem słowem, póki brak specjalizmu nie pozwoli się administracji wypłatać z mglistych ram błędnych ogólników, a gruntowna wiedza nie wyprowadzi jej z ciasnego kółka bojaźni i małoduszności, to nigdy nie wyjdzie z dylematu górnych projektów a poziomych rezultatów, instytucja zaś nigdy nie nabierze tej żywotności, która niekiedy w martwych statutach wygrzebuje prawda swojego istnienia, ale we własnym dowcipie zawsze odszuka niewyczerpane źródło środków, dla zrównoważenia różnych wymagań i pokonania wszelkich trudności, jakie na stanowisku publicznem konieczne spotykać ją muszą.

Pytamy się jeszcze: dlaczego w zarządzie instytucji widzimy przedstawicieli wszystkich sfer społecznych, a malarza żadnego? Wszak niepodobna przypuszczać aby się to nie zgadzało z duchem instytucji. W końcu zauważaliśmy, że w postępowaniu dyrekcji z pod maski opiekuńczej dość butnie główkę swoją wychyla protekcyjnalizm, nieobjęty, o ile nam się zdaje, żadnym paragrafem statutow. Nie można tu brać wyrazu protekcji w takim znaczeniu, w jakim się on przypisuje zwykle Leonom X'tym, Ludwikom XIV'tym i w ogólności władzom panującym, albowiem Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie, jak każdemu wiadomo, w zakresie swoich atrybucyj, prócz sztuki, niema żadnej innej gałęzi rzemieślnictwa poruczonej swojej opiece. Nie można brać także wyrazu protekcji w tém samém znaczeniu co opieka, różnica bowiem, przy całej swojej subtelności, nie tylko że jest wielce znaczącą, ale nawet w skutkach swoich nadzwyczaj donośną.

Opieką, dla nas uroczy zabytek z czasów szczęśliwszych minionego patryarchalizmu nosi, na sobie piętno enotliwego pochodzenia i jej wynikiem jest przywiązanie i niewygasa wdzięczność; lecz protekcyjnalizm, to wyrodne dziecko dawniejszej cnoty, w pysze swojej szuka tylko służalstwa, a zaszczipiając niesmak moralny, rozstraja harmonię społeczną. Ponieważ zaś protegowanie sztuki zawsze musi mieć pewną styczność ze znawstwem, przeto protektorowie znajdują na to sposób, stawiając sobie jako niezłomny aksjomat słowa pana Klaczki, iż sztuka nasza nigdy zagraniczej nie wyrówna, i raz pociągnawszy taką linią demarkacyjną, myślą że już tym sposobem są zupełnie uwolnieni od nieznanych prawideł znawstwa i puszcza śmiało cugle swoim najdziwniejszym urojeniom. Biada malarzowi, jeśli się poważy uchylić od ich łaskawego jarzma. Najbardziej atoli cierpią na tém zasłużenie talenta, albowiem jak skwapliwi i nieublagani są w doszukiwaniu błędów, mając przytém pole do popisowania się z swoim dowcipem, tak z drugiej strony nadzwyczaj są ostrożni w przyznaniu wartości, nie dowierzając w zupełności znawstwu swego chowu. Nie pragniemy wcale widzieć w naszym kraju same Florencje i samych Medyceuszów, ale też nikt nikogo amatorem i przyjaciele sztuk pięknych nie zrobił. Jeśli się kto pokusza o sławę, jaka się dostawała w udziale duchom wyższymi, pod których skrzydłem opiekuńczeni zakwita sztuka, to niech też, podobnie jak one, pokocha ją szczerze i godnie.

I owszem, uważamy nawet za rzecz konieczną, żeby u nas wymagać raz przecie zaczęto w sztuce bezwzględnej doskonałości i żeby zakroje szkicowe, na których wiele naszych talentów kończyło i kończy, nie wystarczały jako dzieła dostateczne; (chyba amatorem albumow...) a chociaż się świętują muzy malarskiej cokolwiek przereździ z niedołężnych i pretensjonalnych diletantów, nie będzie to wcale ze stratą dla kraju, który natomiast zyska godne pomniki artysty narodowego.

Bardzo się obawiamy, żeby nas niesłusznie nie policzono do rzędu owych mnogich trutniów, którzy żywiąc w sobie złośliwą nienawiść ku wszelkiej obcej zastudze, rojami się rzucają na każde chociażby naj-

godniejsze przedsięwzięcie; jak równie byłoby naszym gorącym życzeniem, żeby słowa powyższe odnoszono li tylko do wadliwych stron instytucji, odpowiedzialnej przed krajem, z powodu stanowiska zajmowanego, za każdy swój krok, szczególnie tam, gdzie jej działania z ogółem w stosunku solidarności zostają. Podjęliśmy się tej nader ciężkiej pracy głównie dlatego, aby, krótko powiedziawszy, przypomnieć dyrekcji czy administracji obowiązki, jakie na niej, z powodu założenia i z charakteru instytucji, ciąży. Dobrych chęci i szczerych intencji wcale nie odmawiamy członkom sterującym, i tylko zła wola mogłaby się na to zdobyć; ale śmiało powiadamy, że przy teraźniejszym, prawie dziwnym sposobie widzenia rzeczy, nigdy nie wyjdzie instytucja na utarty gościniec skutecznego działania, i kończymy tą jeszcze przykrą uwagą, że na nieszczęście smutny stan moralny zarządu kryje się pod puklerz wysokich i znakomitych imion, które w innych zapewne widowiskach używały instytucji swego ramienia. Prawdziwą atoli zagadką jest dla nas, że znakomity krytyk jednego z pism tutejszych, którego pióro ma tak znaczną wagę w kraju, ostanta poniekąd chroniczne ułomności Towarzystwa, a zastanawia nas to tém bardziej, jeśli sobie przypomnimy jeden nieoszacowany jego artykuł z zaprzeszłego roku, gdzie z niezwykłą głębokością powiawszy cnoty dawniejsze z wymaganiami teraźniejszymi, chciał postawić na stanowisku niezmiernie jasnym cel i powołanie pracy społeczeństwa. Artykuł ten mógłby snadno być objętym między paragrafami statutow instytucyjnych, a i nie jeden nawet mąż stanu nowszej daty powinienby go sobie czasami pod głowę położyć. Podobne przymierze z Towarzystwem staje się dla sztuki szkodliwem, albowiem pod zasłoną recenzji pana Siemieńskiego, uświęcają się niedorzeczności dyrekcyjne, nabiierając urojonę powagę nieomylnego areopagu.

Przemawiamy tu w interesie sztuki, albowiem jego rozbiory krytyczne odznaczają się w tej mierze ogromną trafnością i uważamy jego pióro za najzdolniejsze, by krytykę na polu sztuki wnieść do tej dojrzałości, jaką w literaturze posiadamy. O nieszczerych anonimach, w różnych dziennikach zamieszczanych, nawet wspominać nie warto; widać że im wystawy tutejsze następczą sposobność zarobku, bałamuca więc swemi sądami artystów i czytelników, gdyż albo zadymia talent kadzidłami, jak pijany organista, lub obrzuca błotem, jak brukowy ulicznik. Największą zaletą także w krytyce pana Siemieńskiego jest to, że umie zawsze odszukać wartość psychiczną utworu i nie pozwoli w tym względzie przemknąć się żadnej kontrabandzie; żalujemy tylko, że pod wrażeniem predykecyjnego rodzaju sztuki, który widać u niego jest religijny, da się czasami wyprowadzić z zaokrąglenia plastycznego.

Przystępując do wystawy obrazów, nasuwa nam się jeszcze pytanie, według jakich prawideł trwanie jej ograniczać się musi do dwóch tylko miesięcy, zwłaszcza że, jak nam wiadomo, koszt tak lokalu, jako i administracji są pokryte na rok cały, a więcby rozchodu żadnego nie przybyło, gdyby została przedłużoną. Nie usuwa się z tém samém sposobności do pozbycia swoich prac, które dwa razy wystawionemi być nie mogą? a co więcej, oko nawet miejscowych przyjaciół sztuki dopiero na wystawach się spotyka z obrazami tutejszych malarzy.

Obok obcych, mianowicie niemieckich malarzy, przy których i tą razą wyżej wypowiedzianego zdania cofać nie potrzebujemy, głównie na wystawie tegorocznej reprezentowaną była sztuka miejscowa, a chociaż niebardzo liczna swoim zastępem, powagą swoją nadała jej charakter godny. W utworach niekrakowskich malarzy, których tą razą niewiele się znajduje, objawia się w zasmucający sposób albo zacofanie się w postępie, albo pewna zdrobniałość ducha, a przytaczając tu tylko fakt, jaki się nam przedstawia, nie możemy utać przykrego wrażenia, jakie na każdym sprawiać musi widok tylu pięknych a w połowie drogi omdlewających talentów.

Liczby obrazów nie pamiętamy, i wątpimy żeby na tém komu wiele zależało, jak równie unikamy konwencyonalnego przefiltrowywania każdego obrazka i obrazeczka, które bardziej czytelnika nudzi, niż go pożywia, a dotykamy tylko takich prac, w których albo talent widoczny, albo kierunek usiłowania, podają rękomię, iż zajmą kiedyś w przyszłości miejsce w historii naszej sztuki.

Najznamienitszym utworem, trzymającym berło pierwszeństwa na całej wystawie, jest „Staniec” Matejki. Niepospolity talent tego artysty przebiegał się już we wszystkich jego poprzednich pracach, a mianowicie odznaczał się rozumem pojmowaniem i surową sumiennością, a ponieważ prace te, nieożywione tym lekkim polotem fantazji, jaki tylko wrażenie

wprost z natury wzięte na płótno przelać może, były owocem głębszego pomysłu i tematem wyszukany w nagromadzonych zapasach wiedzy, nie porównywały więc w pierwszych chwilach widza, i to może było chociaż najniesłuszniejszym powodem, że nie dostrzegano w nich ogromnych zalet, pomimo że już nosiły na sobie zakroje niezwyklej doskonałości. Lecz nie tu miejsce do podobnych rozpraw, mamy tylko do czynienia z niniejszą jego pracą, niezaprzeczenie jedną z najlepszych dzieł sztuki, jakie się dotychczas u nas pojawiły. Przewyborny przedmiot do obrazu: blazen zadumany wśród wrzawy balowej. Zwykła pośpiesność w podobnej okoliczności zalecała już ciekawy umysł, a coś dopiero, kiedy z pod okrywy arlekina wygląda twarz blada, z wzrokiem w siebie wkleśniętym, jakby ten człowiek, którego snadź suknia nieszczęsna pali, zajrzał w głębię swojej duszy i odsłonił przed sobą na chwilę przepaść, od której go własna moc odsunąć nie może. Trudno żeby go tylko spotkał szwank etykiety w przyległej sali tańców i zabawy: jest to strasza walka duszy z natłokiem sromu, sroga igraszka z wyrokiem swojej śmierci moralnej. Żywy ten obraz wzruszeń serca ludzkiego wystarcza dla widza, chociażby nawet nie wiedział czy to Stańczyk, czy inny jaki nieszczęśliwy blazen dworski. Właśnie to, że tu wielka akcja psychiczna jest sprowadzona do najprostszych, a zarazem najrealniejszych linii natury, najwyższej cenimy w tym obrazie. Pochwycenie kontrastów moralnych jest, zdaniem naszym, tak dostatecznym zaokrągleniem dramatu, iż wcale nie widzimy potrzeby oglądać się za innymi podstawami dramatycznymi, jakie niektóre akcesorya niepotrzebnie nasuwają. W ogóle wszelkie podkłady tendencyjne niezmiernie szkodzą kompozycjom i nie tylko odbierają dramatowi urok przypadkowej rzeczywistości, ale częstokroć zamglają wyrazistość postaci, wypychając je poza ramy organicznej całości.

Doskonale zastosował artysta do nastroju tragicznego pośpiesność kolorytu, przeprowadzonego mianowicie w oświetleniu księżycowym z dziwną tajemniczością, a mimo to nieodstępującego od prawdy natury. Nie krępując swego poczucia metodą ślepych naturalistów, ożywił całość powietrzem poetycznym, a przytłumiony jego pędła tak mistrzowskie, iż nie jeden znakomity malarz zagraniczny pozazdrościłby mu tego traktowania.

Spotykamy w tym roku również pracę historyczną Władysława Łuszczkiewicza, profesora tutejszej szkoły malarstwa, „Annę Jagiellonkę.“ Przedmiot do kompozycji bardzo godnie wybrany, ale, według naszego przekonania, intencje, lubo wzniósł, za głęboko toną w abstrakcyach, iżby je można ująć w dotykającą formę dramatyczną, przystępną dla każdego patrzącego. Odgadujemy myśl artysty, starającego się usunąć z duszy bogobojnej królowy niższe pragnienia szczęścia małżeńskiego; domyślamy się że orez w jej ręku, z którym się wpatruje w stojący obok niej portret Batorego, oznacza przeczenie, że nim kiedyś pożyty ten król przysporzył blasku Rzeczypospolitej; lecz to wszystko nie rozjaśnia dostatecznie sytuacji dramatycznej. Niema w tym obrazie tak jasnego wykładu, jakimiś widzieli w innych pracach tego artysty, a przez to kompozycja nie tchnie żywością, mimo wielu doskonałych i skończonych rzeczy, świadczących najwidoczniej o wcale niemałych zdolnościach. W ogóle przedmiot nie odpowiada siłom artystycznym, jakich p. Łuszczkiewiczowi odmówić nie można. Rozstrzelenie pracy na różne odłamki, może się najwięcej do tego przyczynia, iż nie może uzyskać tej zupełnej doskonałości, której dosięgają talenta niekoniecznie genialne, jeśli się w jednym stałym kierunku wyrabiają. Zatrzymujemy się dłużej przy pracach pana Łuszczkiewicza, albowiem pojąć nie możemy, jakim sposobem one mogą być stawiane na równi z pierwszą lepszą próbą diletanta, i że nikt zauważać nie chce prawdziwie wielkich zasług, jakie on dla sztuki tutejszej położył; gdyż śmiało rzec można; że on jeden w Krakowie uratował sztukę z pochyłości, na którą ją zepchnąć usiłowano. Każdy pamięta smutny stan szkoły naszej, i kto wie, dokądby w nim pozostała, gdyby jej nie był wyprowadził ze zgubnej ciemności; a postęp uczniów, z których niejedyn talent dojrzał, jest niezawodnie najjaśniejszym świadectwem, że chętna i zdolna ręka szkołą kieruje. A i dziś, lubo mu w drodze stoi stanowisko, uniemożliwiające szybki rozwój jego talentu, niejedyn talencik mi-gracyjny, przy wszystkich swoich poklaskach, mógłby do niego pójść na naukę.

Wiele pięknych zalet mieści w sobie obraz więc już historyczno-religijny Cynka, ucznia szkoły krakowskiej, wyobrażający św. Kunegundę kiedy jej

górnicy bocheńscy przynoszą bryły soli z świeżo odkrytej kopalni. Szczególnym duchem legendowym tchnie cała kompozycja, i wieje w niej prawie powietrze zamglonych wieków przeszłości. Wszelako przy usiłowaniu utrzymania całego obrazu w nastroju świętobliwości pomnikowej i kronikowej, pozacięła artysta wyrazistą charakterystykę postaci, i mimo obfitych akcyj tam znajdujących się, obraz wpada w monotonię i wydaje się jakby złożony więcej z statystów, niż z żywych działaczy. Trudno żeby w owych wiekach, przy powszechnym liryzmie religijnym, jaki wówczas panował, ludzie zupełnie wolni byli od wadliwych wpływów krwi i żółci, i nawet z pewnością twierdzić można, iż przy nieogładzie obyczajów, namiętności ówczesne nierównie gwałtowniej występowały, niż w dzisiejszych czasach indifferentyzmu.

(Dokończenie nastąpi).

SPRAWY SPOŁECZNE.

II.

O własności literackiej i artystycznej. (*)

Od stu lat blisko przed trybunałem społeczeństwa toczy się proces wielkiej doniosłości moralnej i materialnej, zmierzający do uświęcenia jednego z ważnych praw przyrodzonych. Idzie tu o rozstrzygnięcie kwestyi: czy autor jest bezwzględny właścicielem swego dzieła i czy własność ta ma być wieczystą? Zanim jednak damy na to pytanie odpowiedź zgodną z naszym przekonaniem, zobaczmy wprzód jaki był początek prawa własności literackiej w czasach najdawniejszych, przez jakie ono przechodziło koleje i co dotychczas uczyniła społeczność ku jego uświęceniu.

Własność literacka jest prawem przyrodzonym, wewnętrzna jej przeto idea istnieje od początku świata. Pierwszy człowiek, co pochwycił jakiś przedmiot, opracował go własną myślą i nadał mu piętno swej indywidualności, stał się zarazem duchowym jego właścicielem. Gdyby miał wtedy pod ręką narzędzia służące do utrwalenia i rozpowszechnienia tej myśli, byłby ją mógł od razu uczynić przedmiotem zbytu lub zamiany, na osobistą swą korzyść. Wynalezienie piśma narzędzia te wskazało, lecz powolność onego i niedokładność materiału stawały jeszcze na przeszkodzie szerzeniu się plodów ducha ludzkiego, a myśliciele, szczęśliwi gdy znajdowali kopistów, nie mogli nawet marzyć o ciągnięciu z prac swych korzyści.

Dopiero cudowny wynalazek druku rozwija skrzydła umysłowi ludzkiemu: myśl, dotąd niedostępna, mnoży się i rozpowszechnia bez granic; księgi, przedtem rzadkie i kosztowne, przechodzą z rąk do rąk tysiącami, zrzadzając nie tylko przewrót moralny w społeczeństwie, lecz stając się zarazem i źródłem zysku materialnego. Od tej więc chwili właściwie prawo własności literackiej, lubo istniejące zdawna, bo zrodzone razem z myślą ludzką, znajduje środki skutecznego objawiania się na zewnątrz i stania się plodnym dla autorów.

Nastąpiły czasy świetne dla literatury i sztuki: wiek Medyceuszów, Leona X, Franciszka I i Ludwika XIV. Myśliciele, poeci i artyści jasnieją jak gwiazdy na dworskim horyzoncie, otoczeni łaską panujących, zaszczytami i bogactwem. Ale wszystko to nie jest prawem przyznaniem ich zasług, nagrodą przynależną pracy i talentowi, jeno łaską monarchów i możnych mecenasów, udzielaną dowolnie jednemu, odbieraną drugiemu, równie znakomitemu, którzy jednocześnie marnieją w nędzy, lub umierają w domach obłąkanych. Prawodawstwo milczy: plody ducha ludzkiego są jeszcze własnością ogólną i każdy uczynić je może dla siebie przedmiotem nie tylko moralnych, lecz i materialnych korzyści.

Niepodobna nam wyliczać szczegółowo kolei jakie kwestya ta przechodziła w różnych krajach dawnego i nowego świata; wymienimy więc tylko główniejsze w tej mierze postanowienia.

W Anglii już r. 1810 wyszedł zakaz przeciw przedrukowi, a podług prawa z 1 lipca 1842 r. własność utworów literackich ustanowiona została na lat 7 po śmierci autora, który plodami umysłu swego rozrządzać może tak samo, jak każdą inną własnością. W Szwecyi, Holandyi i Belgii prawo własności literackiej obowiązuje na lat 20, w cesarstwie rosyjskim

na lat 25, w Portugalii na lat 30 po śmierci autora. — W Niemczech postanowienie Bundestagu z d. 19 czerwca 1845 r. oznaczało podobnie lat 30 po śmierci autora, który to termin w szczególnych wypadkach może być jeszcze przedłużany. — W Hiszpanii prawo z d. 10 czerwca 1847 r. okazało się wyjątkowo korzystnym dla rodzin lub spadkobierców, przynajmniej im bowiem własność wydanych utworów na lat 50 po śmierci autora, z wyjątkiem pism pomniejszych i przekładów, na które oznacza lat 25. — Stany Zjednoczone uznają prawo autora do jego dzieła na lat 28 od chwili ujawnienia, spadkobiercom zaś pozwalają zakres ten przedłużyć jeszcze na lat 14.

W dawnej Polsce w XVI już wieku znajdujemy ślady przywilejów wydawanych na utwory literackie. I tak w r. 1594 niejaki Baltazar Andrzej zyskuje przywilej królewski na dzieło Mikołaja Volkmar p. n. *Dictionarium trilinguae tripartitum*, z zastrzeżeniem aby go nikt nie przedrukował ani sprzedawał, pod karą 500 zł. i konfiskaty. — W siedmnaście lat później, na sejmie walnym w Warszawie 1611 r., synowcom Jana Kochanowskiego wystawiono przywilej na wydanie poezji jego „przeciw drukowaniu i przedawaniu, nawet pod pretekstem kancjonalików na małą frakturę, pod winą 500 czerwonych złotych i utratą ksiąg, której winy połowica jedna do skarbu j. kr. m. *irremissibiliter* przypada, a druga stronie ukrzywdzonej. — Roku 1754 Adama Kempkiego „Myśli o Bogu i człowieku“ (więszem) otrzymały przywilej Augusta III na Polskę i Saksonię, iż niewolno dzieła tego przedrukować i przedawać, bez woli autora i spadkobierców, pod karą konfiskaty i 1000 tal. cesarskich, a to na lat 40. — Później jeszcze, bo w r. 1776, księgarz Grell wyjednał sobie przywilej Stanisława Augusta na dzieła Krasieckiego: Myszeide, Doświadczeńskiego, Podstolego i Historyę, wzbraniającą prac tych przedruku i przekładu na obce języki, a to na lat 20, pod karą 1000 zł. węgierskich i konfiskaty. — Wszystko to jednak nie były ogólnie obowiązujące przepisy, lecz przywileje w drodze szczególnego uwzględnienia każdorazowie wyjednywane.

Po tej pobieżnej wzmiance o prawie własności literackiej w innych krajach, przejdźmy teraz główne jego fazy we Francyi, która i tu, jak we wszystkich niemal, przewodniczy.

Pierwszym krokiem stanowczym na drodze uprawnienia własności literackiej, był w kraju tym ordonans Ludwika XVI z d. 30 sierpnia 1777 r., przyznający autorom, pod pewnymi warunkami, wieczystą własność ich plodów. Rewolucya z r. 1789, burząca wszelkie przywileje, nie okazała się przychylną i dla prawa autorów, w którym niesłusznie widziała ścieśnienie ogólnych praw społeczeństwa; obala je więc i znosi na korzyść powszechności. W kilka lat później dekret z 19 lipca 1793 r. przywraca w części własność literacką, lecz ogranicza prawo spadkobierców do lat 10 po śmierci autora. Cesarstwo pierwsze, dekretem z d. 5 lutego 1810 r., czas ten rozciąga do lat 20, i tak pozostały rzeczy aż do r. 1854, w którym Napoleon III, prawem z d. 18 kwietnia, raz jeszcze trwanie własności literackiej rozszerza do lat 30.

W roku 1858 Belgia zwołała do Brukselli kongres międzynarodowy, w celu ostatecznego określenia własności literackiej i ujednostajnienia we wszystkich krajach istniejących w tym względzie przepisów. Znakomici uczeni, literaci, artyści, ekonomiści i przemysłowcy wszystkich narodów zebraли się tu na gruncie, gdzie od tak dawna krzewił się i kwitował przedruk, by obradować nad nienaruszalnością prawa autorów. Był to widok poważny i pocieszający. Nieszczęściem jednak rezultat nie odpowiedział powszechnym oczekiwaniom. Walka toczyła się żywo i z talentem na arenie kongresowej; ale cel główny został zaniedbany. Z łona takiego zgromadzenia powinno było wyjść uroczyste uznanie bezwzględności i wieczystego prawa autorów do ich plodów umysłowych. Tymczasem stało się inaczej: ograniczono się na ogólnikach bez praktycznej wartości, i całą korzyścią z kongresu pozostało wszechstronne nieco roztrząśnienie przedmiotu spornego i kilkanaście mów świetnie wypowiedzianych.

I znowu przez lat kilka milczenie. Aż w roku 1861 cesarz Francuzów, dekretem z d. 28 grudnia, nakazuje wypracowanie nowego projektu do prawa o własności literackiej. Ustanowiona w tym celu kommisya, po całorocznych przeszło naradach i badaniach, ukończyła swą pracę w roku bieżącym i złożyła ją ówczesnemu ministrowi stanu hr. Walewskiemu, który w upłynionym miesiącu kwietniu zdał o niej raport cesarzowi.

Kommisya w projekcie swoim, składającym się w ogóle z 36 artykułów, uznaje w zasadzie wieczystość i dziedziczność prawa własności literackiej i artystycznej; jak gdyby jednak uleżała się śmiałości tego kro-

(1) Własności literacka i artystyczna są z sobą blisko spokrewnione, a związek ten jest tak ścisły, że mówiąc o jednej, niepodobna w myśli pomijać drugiej. Dlatego w ciągu tej rozprawki, unikając nużącego powtarzania, używać będziemy głównie wyrażenia: *własność literacka*. Korzystaliśmy w tej pracy z dzieł niedawno wydanych p. p. F. Passy i G. de Champagnac. (Przyp. aut.)

ku, cofa się przed praktycznym wykonaniem uświęconej w teorii zasady i stanowi trwanie nieograniczonej własności dla spadkobierców na lat 50 od śmierci autora (art. 3). Po upływie tego czasu nadaje spadkobiercom tylko prawo do pewnej części zysku, przyznając im 5% od ogólnej ceny katologowej wszystkich egzemplarzy każdego wydania, publikacji albo reprodukcji dzieła literackiego lub artystycznego, a co do dzieł dramatycznych i muzycznych, za każde przedstawienie albo wykonanie połowę tego, co przypadało za życia autorowi (art. 5).

Rapport hr. Walewskiego usiłuje usprawiedliwić ten brak konsekwencji w przeprowadzeniu uznanej zasady.

„Autor, mówi on, przed ujawnieniem swego dzieła, jest nieograniczonym onego właścicielem: może je ukryć, lub wystawić na widok publiczny; może je wydać w formie najprostszej, albo z wyszukaną wykwintnością; może oznaczyć na nie cenę dowolną, lub oddać darmo; może je przeistoczyć, a nawet zniszczyć, jeżeli zechce, posuwając tym sposobem prawo użycia, aż do nadużycia.

„Czyn publikacji nie znosi całkowicie tego stanu rzeczy, ale wprowadza doń nowy żywioł, którego nie godzi się pomijać lub zaniedbywać.

„Od chwili gdy dzieło jakie z rąk autora przechodzi w ręce publiczności, rachować się należy z różnymi względami pierwszorzędnej ważności. Już od-tąd tych wszystkich co korzystają z ujawnienia płodu umysłowego, pozbawiać nie można wpływających ztąd rozkoszy intelektualnych i pożytków moralnych. Myśli i uczucia tym sposobem rozbudzone, kształty i idee nowe, bogacące oko lub pojęcie, mieszają się z myślami, uczuciami i kształtami już w umysłach istniejącymi. Z tych zasobów zbiorowych wyniknąć mogą inne dzieła oryginalne, względem których autorem służyć będzie również prawo wyłącznego posiadania. W tym przeto ciągu prac połączonych z sobą wewnętrzną spójnią, której istnienie równie trudno zaprzeczyć, jak oznaczyć granice, każdy czynnik ma swoje częstkie wysiłki i zasługi, a więc powinien mieć także swój udział w korzyści i sławie.“—I nieco dalej:

„Wydania nowe jakiego dzieła, chociażby następowały po sobie do nieskończoności, nie, ściśle biorąc, nie zmieniają we wzajemnym stosunku autorów i publiczności. Nawet po śmierci autora, prawo jego przechodzi na spadkobierców.

„Jednakże, gdy po pewnym czasie wymrą bezpośredni dziedzice autora, zwykle najbliżsi jego krewni, ci z którymi zostawał w zażyłości, którzy byli przedmiotem najtkliwszych jego uczuć i uczestnikami najskrytszych jego myśli, wtedy prawo pierwotne, lubo istnieć nie przestaje, traci przecież cechę osobistego niejako przekazu. Jednocześnie wymagania interesu publicznego stały się większymi i bardziej uzasadnionymi, a poczyną się na korzyść społeczeństwa coś naksztaltu prawa przedawnienia, z powodu długiej używalności.

„Poświęcić całkowicie jedno z tych praw, byłoby rzeczą niesłuszną; pogodzenie ich więc, ile możność pozwala, jest zadaniem prawodawcy.....“

Nie pojmujemy logiki takiej. Skoro komisja zasadę bezwzględnej i wieczystej własności uznała za słuszną, to należało nie stawiać się w sprzeczności z własnym przekonaniem i temu co się uważa za sprawiedliwe, nadać moc obowiązującą. Tranzakcje podobne i półśrodki mogą być nieuniknione w działaniach dyplomatycznych, lecz w prawodawstwie uważamy je za zupełnie niestosowne. Prawodawca przedewszystkiem starać się o to powinien, aby być w zgodzie z samym sobą, a wszelkie zboczenia od tej zasady osłabiają powagę prawa.

Jednakże, mimo tej kardynalnej, według nas, wady, przyznać należy iż projekt rzeczony opracowany jest ze znajomością rzeczy i oparty na gruntownych badaniach. Przytoczymy tu z niego kilka ważniejszych artykułów.

Art. 8. Własność literacka i artystyczna nie podlega za życia autora zajęciu przez wierzycieli, ani na cele publiczne. To samo rozumieć się ma o rękopisach i w ogólności o wszystkich pracach przygotowawczych do dzieła jeszcze nieujawnionego.

Art. 13. Wchodzi także w zakres niniejszego prawa kursa publiczne naukowe, kazania, obrony i w ogólności mowy wygłaszane na zebraniach bądź politycznych, bądź naukowych i literackich. Jednakże każdemu służy prawo ujawnienia tychże mów, przy zdawaniu sprawy z posiedzeń trybunałów, zgromadzeń prawodawczych, naukowych i t. p.

Art. 16. Kompozytor dzieła muzycznego i autortowarzyszących mu słów równe mają prawo do wspólnej pracy, jeżeli pod tym względem osobna nie zaszła umowa.

Art. 19. Każdy autor, przez przeciąg lat 5ciu od chwili zupełnego ujawnienia swego dzieła, wyłączne ma prawo ogłaszania lub upoważniania tłumaczeń o-nego.

Art. 20. Własność tłumaczenia dokonanego przez autora lub za jego upoważnieniem w przeciągu lat 5ciu, albo przez kogobądź po upływie tego czasu, te same nadaje prawa, co własność dzieła oryginalnego.

Widzimy ztąd, że jakkolwiek projekt którego główniejsze skreśliśmy zarysy, nie wypowiedział jeszcze ostatniego słowa w tej ciekawej kwestyi prawodawczej, uważać go jednak należy za znakomity krok postępu, za zbliżenie się ku ostatecznemu rozwiązaniu zadania, tak żywo obchodzącego naukę i sztukę, a przez nie całe społeczeństwo. Nie wiemy jeszcze czy uzyska on zatwierdzenie bez zmiany; w każdym atoli razie znajdujemy w nim zapowiedź bliskiego urzędowania prawa, któremu większość umysłów oświeconych oddadła sankcją swą udzieliła.

Zobaczmy teraz jaka jest istota wewnętrzna prawa własności literackiej i jakie przeciwnicy onego czynią mu zarzuty.

Ze własność autorów wypływa z prawa przyrodzonego, to nie powinniśmy, zdaje się, potrzebować dowodzenia; a jednakże są ludzie którzy temu zaprzeczają. Myśl, mówią oni, nie jest przedmiotem materialnym, któryby przyswoić sobie można przez pracę; myśl należy do dziedziny powszechnej ludzkości, a władza myślenia zarówno wszystkich nas jest udziałem. Nikt więc nie powinien rościć sobie prawa do posiadania myśli, którą na to tylko ma sobie chwilowo powierzona, aby ją potem oddać społeczeństwu.—Zgoda może na myśl; ale forma przynajmniej niezaprzeczona jest własnością autora. Przypuśćmy że Michał Anioł, rzeźbiąc swego Mojżesza, użył do tego bryły marmuru z publicznego łomu; czyż gmina do której łom należał mogła rościć sobie prawo do owego arcydzieła geniuszu, pod błahym pozorem, że materiał z jakiego ono powstało był wspólną wszystkich własnością? Użyliśmy porównania może nie ze wszystkim trafnego, bo myśl jest istotą, nie materialem płodu umysłowego; ale przynajmniej udotykałnia ono dość dobrze przedmiot sporny. Przeciwnicy własności literackiej, utrzymując że jest nieujętą, niecielesną, w widoczny błąd popadają; bo nie na tym świecie zmysłowym nie może przejść do umysłu, jeno drogą cielesną. Póki myśl lub uczucie nie zostaną ujęte w formy materialne, pozostaną one, jak tło niewyraźne obrazu, w głębi ducha który je począł, pozostaną własnością bezwzględną wprawdzie i nieujętą, lecz jałową, nie przynoszącą nikomu rzeczywistej korzyści. Ażeby wejść w życie i wpływ jakiś wyrzucić, potrzeba aby przybrały kształt dotykalny, aby ujawnione słowem albo ręką, przeszły w pamięć słuchacza, przelały się na papier, płótno lub marmur. Są to warunki nieodzowne tak samo w pracy duchowej, jak w pracy materialnej; a lubo pióro, pedzel i dluto więcej może wymagać siły moralnej niż fizycznej, zawsze jednak nie przestają być narzędziami, podobnie jak pług, motyka i broń. Śladów przeto materii odszukać nietrudno w każdej pracy ludzkiej, zarówno najgrubszej, jak najsubtelniejszej. Ważność jej naturalnie mniejsza jest w dziełach ducha, niż w dziełach ciała; lecz z tego właśnie wynika, że pierwsze wyłączenie jeszcze jak drugie stanowią własność osobistą, ponieważ autorowie wysnuli je sami z siebie, niewiele ku utworzeniu ich posilując się materiałami obcymi. Zarzut więc we wszystkich swych względach obraca się owszem na korzyść zbijanego przedmiotu.

Coby się stało z ludzkością, dowodzą dalej przeciwnicy bezwzględnej własności literackiej, gdyby każdemu autorowi i jego spadkobiercom wolno było rozrządzać samowładnie wszelkiego rodzaju twórcami umysłowymi? Czyż pozbawiona światła, nie cofnęłaby się w swym postępie? Dzieło ujawnione przestaje już być własnością indywidualną, należy ono do ogółu. Wynagrodźcie autora za jego pracę, zapewnijcie mu jej owoc póki żyje, nie wyłączajcie nawet od nich do czasu jego żony i dzieci; lecz nie poręczajcie mu żadnych wieczystych przywilejów.—Zaprawdę, przyznajemy że społeczeństwo bezwarunkowe ma prawo domagać się swobodnego korzystania z utworów inteligencji; ale niewolno jej przywłaszczać ich sobie, zostawiając autorom jedynie prawo używalności do czasu ograniczonego. Obawa pozbawienia społeczeństwa służącego mu przywileju zupełnej jest płonna. Czy własność literacka pozostanie w rękach spadkobierców autora, czyli też przejdzie na ogół, wszystko to jedno dla ludzkości. Jeżeli spadkobiercy w ogłoszeniu dzieła pośmiertnego, lub w nowym wydaniu dawniej ujawnionej pracy, widzieć będą swą korzyść materialną i moralną, uskutecznią je niezawodnie z dobrej woli; jeżeli przeciwnie, przyna-

glać ich osobiście niepodobna, lecz przedsiębiorcy-księgarzowi służy wtedy droga wywłaszczenia, o czem poniżej będzie mowa. Pocóż więc naruszać najświętsze prawa rodziny, dla zubożenia niesłusznym zyskiem zręcznego może spekulanta?—Płód umysłowy, mówią mniemani obrońcy społeczeństwa, nie należy wyłącznie do autora, ponieważ nie z niego samego wziął początek. Czémżeby była nauka jednostki, gdyby prace poprzednicze ogółu nie podały mu do niej żywiołu? Autor buduje, lecz na gruncie powszechnym i z dostarczonych sobie materiałów; zbiera, lecz na wspólnym polu i wspólnymi narzędziami; słuszną więc aby i korzyści przezeń osiągnane były wspólne.—Nie ulega wątpliwości, odpowiadamy, że pisarz lub artysta, tworząc dzieła swoje, koniecznie pracować musi na istniejącem już tle myśli, uczuć i wiadomości, że posilkuje się zasobami przeszłości; ależ zawsze i wszędzie dzieje się to samo. Człowiek nieczego, ściśle biorąc, stworzyć sam z siebie nie może, zarówno pod względem duchowym, jak fizycznym. To co w potocznej mowie nazywamy tworzeniem, jest rzeczywistość tylko nowym użyciem, zestawieniem, przerobieniem rzeczy gotowych, ale pierwiastek twórczy jest dla nas niedostępnym. Zasadę tę zastosować można do wszelkiego rodzaju zatrudnień ludzkich, chociażby najbardziej z pozoru materialnych, bo w każdym z nich korzystamy z doświadczenia, nauki i zasobów nagromadzonych przez innych. Fizycznie i moralnie żyjemy życiem naszych ojców i opieramy się na pracy poprzedników. Każdy tu jest dłużnikiem wszystkich, i w produkcji wszelkiej, jakkolwiek byłaby jej natura, część tylko mniejsza jest własnością osobistą jednostki działającej, reszta należy do całego rodzaju ludzkiego. Otóż więc, gdyby w tej mierze wdanie się prawa było potrzebnem, gdyby społeczność ograniczyć chciała na swą korzyść używanie indywidualne, powinnaby ograniczenie to rozciągnąć do każdego rodzaju własności, i nie byłoby rzeczy na świecie, któreby po pewnym przeciągu czasu przejść nie musiały w posiadanie ogólne.

Każdego, lubiącego wszędzie upatrywać mniemane różnice i odcienie, twierdzą że celem pracy materialnej bywa zwykle korzyść pieniężna, podczas gdy praca intelektualna względów tak poziomych nie powinna mieć na uwadze.—Jest to sofizm mniej więcej upożorowany, chociaż zupełnie bezzasadny. Zapewne że bywają takie książki lub obrazy, co nie zwracają nawet ich autorom nakładu pracy i czasu; ależ to samo powiedzieć można i o niejednym gruncie, nie powracającym kosztu uprawy, o niejednym przemyśle, niszczącym przedsiębiorców. Co się zaś tyczy mniemania, jakoby pisarze i artyści nie dbali o materialne prac swych owoce, jest ono czystym urojeniem. Niema człowieka coby za jakąbądź pracę swoją nie pragnął nagrody; tylko że rodzaj jej nie u wszystkich będzie jednaki: jeden przekłada zyski materialne, drugi sławę i zaszczyty, trzeci nakoniec po-przestaje na zadowoleniu jakie mu sprawia przekonanie że pracuje użytecznie. Wprawdzie niektóre rodzaje zajęć więcej usposabiają do pożądania jednego lub drugiego z tych wynagrodzeń; lecz w ogólności niema pracy bez widoków zysku, a jakość jego zależy więcej od osób niż od rzeczy. Wszystko na świecie, począwszy od najniższego rzemiosła, aż do arcydzieła sztuki, może być zrobione z chciwości, z żądzy sławy albo z obowiązku, stosownie do charakteru osoby działającej. Próżno też odzywałby się kto do ludzi inteligencji, że są pochodniami przyswiecającymi ludzkości i że nie powinni światła swego sprzedawać; utrzymującym tak należałoby przypomnieć, że i najczystszy płomień gaśnie z braku podsyłania.

Legiści znów utrzymują, że ponieważ własność cywilna jest prawem wyłącznego posiadania jakiej rzeczy, używania jej i nadużywania, słowem rozrządzania nią według woli, przeto autor nie jest bezwzględnym właścicielem swjej pracy, bo od chwili gdy ją ujawnił, społeczność nabyła już do niej prawa niezaprzeczalnego. Mówią dalej że własność literacka, mając charakter czysto osobisty, nie może być przekazywaną tak jak własność rzeczowa. W tej ostatniej stosunek w jakim zostaje właściciel do posiadanego przedmiotu, przejść może i na spadkobiercę; przeniesie zaś stosunek autora do jego dzieła na osobę trzecią, widocznie byłoby niepodobieństwem.—Rozumowania te, jakkolwiek uludne, obejrzone bliżej, wytrzymać nie zdołają krytyki zdrowego rozsądku. Autor nie jest właścicielem swego dzieła, powiadają legiści, bo niewolno mu go niszczyć ze szkoda społeczeństwa. Ależ niewolno i właścicielowi ziemi niszczyć swjej roli ani palić swych lasów, bo społeczność potrzebuje zboża i drzewa; niewolno właścicielowi kopalń zostawiać ich bez użytku, pod karą wywłaszczenia; a przecież nikt posiadaczom roli, lasów i kopalń nie zaprzecza prawa własności. Równie łatwy do zbitcia jest zarzut drugi.

Własność intelektualna jest osobistą, to prawda; lecz nikt nie zaprzeczy że pierwotny uprawiacz kawałka pola, lub późniejszy nabywca onego, są także właścicielami osobistymi; a jednak tę własność osobistą odziedziczają po nich dzieci, chociażby w niczem nie przyczynili się ani do uprawy pola, ani do jego kupna. Dziedzictwa więc nie nadaje im żaden wymarzony stosunek do przedmiotu posiadanego, ale prawo naturalne, uświęcone prawem cywilnym. Syn właściciela ziemskiego mógł niewiekszy mieć udział w uprawie pola, jak syn autora w napisaniu dzieła; i tu i tam jedyne prawo stanowią związki rodzinne. Dla czegożby więc społeczeństwo odmówić miało pracy ducha tego dobrodziejstwa, jakie oddawna udzieliło pracy materialnej?

Powtarzają jeszcze inni, że warunki istnienia i szczenia się pracy materialnej i intelektualnej są sobie wręcz przeciwne. Przeznaczeniem własności materialnej, według nich, jest użycie jednostkowe: rzecz należy do jednego, bo z natury swojej do wielu należeć nie może. Przeznaczeniem własności intelektualnej jest użycie zbiorowe: myśl należy do wszystkich, bo z natury swojej do jednego należeć nie może. — Jest to fałsz widoczny i łatwy do odparcia. Nasamprzód mnóstwo mamy przedmiotów natury materialnej, mogących być własnością zbiorową: kościół, szkoła, cmentarz i t. p. należą do całej gminy; a sprzęty znów, narzędzia, grunt, zabudowania, kolejno zmieniać mogą właścicieli, lub jednocześnie należeć do kilku. Z drugiej strony myśli, uczucia i wrażenia intelektualne w dziele jakimś objawione, jakkolwiek niezaprzeczenie autor pragnie jaknajwiększego ich rozpowszechnienia, nie przestają jednak stanowić jego własności indywidualnej i niepodobna mu zaprzeczać prawa rozrządzania onemi. Jeżeli autor zechce żeby dzieło jego przeszło w ręce publiczności, objawi to otwarcie; jeżeli lękać się będzie złej woli swych spadkobierców, przedsięwzięcie przeciw temu środki zabezpieczające. Dodać tu należy że książka szkolna, skoro raz stanie się własnością ogółu, zamienia się w truciznę, przeciwko której niema innego lekarstwa, jak zdrowy zmysł publiczności, niestety, często nierozbudzony; przeciwnie póki zostaje w rękach rodziny, przypuszczać należy iż prędzej lub później przemoże w niej honor nad chęcią zysku, i dzieło szkodliwe zostanie z obiegu usunięciem.

Zarzucają wreszcie niektórzy, że własność literacka, jeżeli przybrać pragnie cechy własności zwyczajnej, poddać się też musi wszelkim jej warunkom, a więc że ulegać powinna *wyłączeniu* w celach użytku publicznego i *opodatkowaniu*. Oznaczcież więc, wołają szyderez, przypadki w których wyłączenie ma mieć miejsce, kto i na czyją korzyść je zarządzi, kto ustawi wysokość wynagrodzenia i kto je zapłaci, na koniec jaka będzie zasada podatku i jaki sposób pobierania onego? — Nic słuszniejszego jak wyłączenie wrazie koniecznej potrzeby, nic prawniejszego jak opodatkowanie; kiedy wszelkiego rodzaju własności podlegają pewnym opłatom, niechże im podlega i własność literacka. Przyjmujemy więc jedno i drugie, a na pytania powyższe z łatwością odpowiedzieć możemy. Przypuszcmy że książki jakiej zabrakło w obiegu handlowym, a publiczność wciąż się o nią dopytuje. Wtedy księgarz chcący zrobić nowe jej wydanie, udaje się do właściciela dzieła, bez względu czy jest nim sam autor, czy jego spadkobierca, dla zawarcia z nim dobrowolnej umowy. Nazwisko właściciela znajdzie w założeń się mającej księdze wieczystej własności literackiej, do której spadkobiercy autorów aktem notaryalnym zaciągnąć powinni swe prawa. Jeżeli właściciel odmówi, księgarz wnosi żądanie wyłączenia, biegle wybrani z łona uczonych, literatów i artystów ustanawiają wysokość wynagrodzenia na rzecz właściciela, a płaci je naturalnie księgarz. Co do podatku, jest on zupełnie usprawiedliwiony i nie widzielibyśmy w nim nic poniżającego dla nauki i sztuki. Nakładachy go należało nie na dzieło samo, lecz na dochód z tego dzieła; książka bowiem niewydana, jest dla autora swego lub właściciela kapitałem martwym; dopiero po nabyciu jej przez księgarza zaczyna się procentować, a to samo powtarza się za każdym nowym wydaniem. Wnoszącym podatek w stosunku prawem oznaczonym byłby księgarz, który potrącałby go od wynagrodzenia należnego właścicielowi dzieła, w czem deklaracja wydawcy, oparta na księgach handlowych, dostateczny stanowiłaby dowód. W razie gdyby sam autor lub właściciel był wydawcą, podatek ustanowićby należało od ogółu ceny katalogowej wszystkich egzemplarzy nakładu.

W treściwem tém zestawieniu głównych przejść jakim kwestya własności literackiej i artystycznej w nowszych czasach podległa i zarzutów jakie ją spoty-

kały, pominęliśmy niejeden wzgląd podrzędny, bo ograniczyć się nam wypadło na zbijaniu ważniejszych, a przynajmniej zręczniejszych upozorowań. Wspomnieliśmy jednak winniśmy na zakończenie o jednym jeszcze zarzucie, czysto niby praktycznym. Przeciwnicy własności literackiej utrzymują, że jeśli spadkobiercom autorów na wieczne czasy służyć ma prawo pobierania umówionego wynagrodzenia od nowych wydań dzieł ich własnością będących, wpłynąć to musi konieczne na podniesienie się ceny prac stanowiących nieraz chlubę i zaszczyt narodu, a tém samem przeskodzić większemu onych rozpowszechnieniu. — Byłby to zarzut rzeczywiście ważny, gdyby go stwierdzała praktyka księgarska; ale tak nie jest na szczęście. Gdybyż tylko z wydawców, z powodu częstych dopytywań się publiczności, uważał za korzystną dla ogółu i dla siebie nową edycją naprzykład dzieł Krasickiego lub Książnina, (za którą niktby się przecież o honorarium nie upomniął), czy naznaczyłby na nie cenę niższą jak na książki bieżące, za które płaci honorarium, lub nawet jak nakładca warszawski dzieł Mickiewicza, który rodzinie zmarłego wieszczą wypłacił kilkadziesiąt tysięcy złotych za pozwolenie zrobienia nowego wydania? Niezawodnie nie; bo cena książki, jak każdego towaru, nietylko zależy od kosztu jej produkcji, ile od pokupu, a więc i liczyć można na szybki i liczny odbiór rzeczy nowowydrukowanych, jak dawno znanych, nie zaciekawiających już ogółu. Honorarium, w stosunku kosztów papieru i druku, mała tylko jest częścią ogólnego nakładu, a więc na podwyższenie ceny przeważnie wpłynąć nie powinno. Niech tylko księgarz ujrzy w tém swój interes handlowy, a pewno niższy cenę książki do minimum, bez względu na pobrane za nią przez właściciela wynagrodzenie, licząc nato, że prędki i massowy odbiór sowie mu to zniżenie wynagrodzi.

Miejmy przeto nadzieję że wieczystość własności literackiej, w tej chwili uznana już w zasadzie, wejdzie wkrótce i w praktykę prawodawczą, a wtedy naturalnem następstwem rzeczy powiększy się i liczba dzieł pożytecznych i ważnych w piśmiennictwie bieżącym. Ludzie zawsze i we wszystkich są ludźmi; nawet geniusze i talenta pracują tém chętniej, im swobodniejszą jest ich pracę spodziewają się owoców. Dajcie pisarzom mającym rodzinę pewność, że dzieciom swym zostawią nietylko głośne imię, nietylko pamięć zaszczytną, ale dziedzictwo rzeczywiste, którego ani czas nie zniszczy, ani ogień nie strawi, a niezawodnie więcej znajdzie się pracowników na polu literackim i artystycznym, co wiekopomne dzieła umysłu przekażą potomności.

L. J.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

30 listopada.

Czy Niemcy wkroczą do Holsztynu? czy po zajęciu tego księstwa sięgną zbrojną ręką po Szlezwig? Czy Dania uważać to będzie za casus belli, czy też uprzedzi egzekucją cofnięciem patentów marcowych? Oto pytania i zarazem główna treść rozpraw dziennikarskich w bieżącym tygodniu. Jedni głoszą pokój, drudzy wojnę, a w rzeczy samej nie napewno nie wiedzą i wiedzieć nie mogą. Nota lorda Russell do Bundestagu nie uczyniła na tém zgromadzeniu żadnego wrażenia, przeciwnie nawet Bundestag oświadczył, że kwestya holsztyńska należy do spraw wewnętrznych Niemiec i złożył notę ad acta. Z drugiej strony utrzymują że Anglia i Francja doradzają Danii, aby zajęła Holsztynu, jeżeli Niemcy nie przejdą za Ejderę, nie uważała za casus belli. Tymczasem duński korespondent Gazety Magdeburgskiej zapewnia, że ostatnie usiłowania pokojowego załatwienia sprawy niemiecko-duńskiej spełzły na niczem. Korespondent utrzymuje, że rada stanu, pod prezydencją samego króla, postanowiła oświadczyć Bundestagowi, że przejście granicy przez wojska niemieckie uważanem będzie za akt nieprzyjacielski, wymierzony przeciw niezależności Danii. Tymczasem ani Niemcy nie są przygotowane do zaczepnych kroków, ani Dania tak odosobnioną, aby wybuch nastąpił. Przymierze skandynawskie, przedewszystkiem zaś opieka i postawa wielkich mocarstw, jest dostatecznym środkiem do powstrzymania bundestagowych zachcianek.

Antagonizm dwóch wielkich mocarstw niemieckich dał nowy objaw życia. Austria wezwała swych frankfurtskich sprzymierzeńców na zjazd do Norymbergi, celem ułożenia zbiorowej odpowiedzi na ostatnią notę

p. Bismarck. W rzeczy samej hr. Rechberg udał się do Norymbergi, ale zaledwie połowa książąt podpisałych na projekcie reformy wysłała swych delegowanych. Po kilku konferencyach uchwalono co następuje: 1) Austria odpowie najprzód Prusom na list króla Wilhelma i notę p. Bismarck; 2) inne gabinety poprą odpowiedź Austrii osobną depeszą; 3) książęta trzymać się będą wiernie uchwalonego w Frankfurcie dzieła reformy; 4) żądania króla Wilhelma ogłoszone zostaną za niepodobne do przyjęcia. Pomimo dość energicznych pozorów tego postanowienia, z całego przebiegu kwestyi jedności, od zjazdu w Frankfurcie do powrotu hr. Rechberg z Norymbergi, okazuje się, że Austria niewiele odniosła istotnych korzyści i że bez udziału Prus żaden poważny projekt reformy w Niemczech do skutku przyjść nie może. Nawet dzienniki austriackie nie tają się z tém przekonaniem, a Presse wręcz oświadcza, że frankfurtska idea bez Prus pozostanie martwą literą.

Izby francuskie, zwołane na dzień 5 listopada, ściągają na siebie powszechną we Francyi uwagę. Pomijając jałowe komentarze nad przyszłą, a więc nieznaną nikomu, treścią mowy tronowej, wspomniemy tylko, że opozycja od lat dwunastu nie wzbudzała tak silnej i powszechnej ciekawości, jak w roku obecnym. Wejście w skład izby wytrawnych elementów parlamentaryzmu, każe się domyslać szczegółowego, zręcznego rozbioru wszystkich wiszących kwestyj wewnętrznych, mianowicie zaś budżetu, tak silnie szarpniętego wyprawą meksykańską. Z drugiej strony i rząd nie zasypia sprawy. Po śmierci p. Billault, który był jedynym obrońcą rządu w izbach, cesarz Napoleon wyznaczył kilku wymownych następców, którzy z urzędu odpowiadać będą w senacie, radzie stanu i cięle prawodawczem, na wszelkie ze strony izb zarzuty.

Sprawa meksykańska bynajmniej nie jest na ukończeniu. Juarez, przybrawszy sobie do pomocy chwiałego się już między nim a Francuzami generała Doblado, trzyma się jak może. Ogromna przestrzeń kraju, brak dróg, szczupłość sił francuskich, wreszcie znana zmienność i niezgoda ludności meksykańskiej, wszystko to silnie stoi na przeszkodzie urzeczywistnieniu tej jedności w głosowaniu za arcyksięciem Maksymilianem, o jakiej marzą półurzędowe dzienniki francuskie. Generał Bazaine objął główne dowództwo po marszałku Forey, który wraca do Francji. Cesarzowa Eugenia przyjęta została w Madrycie z nadzwyczajną gościnnością i przepychem. Z Madrytu cesarzowa udała się do Toledo i po zwidzeniu kilku znaczniejszych miejscowości, wraca do Paryża. Następca marszałka Ornano w gubernatorstwie hotelu Invalidów został generał Lavoestine, dowódca gwardyi narodowej. Książę Montebello, ambasador francuski w Petersburgu, po stracie swęj małżonki udał się do Paryża. Dzienniki zgraniczne wspomniały o nadzwyczajnej misji marszałka Niel, ale wiadomość ta nie jest urzędową i wymaga jeszcze potwierdzenia.

Ostatnie depesze z Nowego-Yorku donoszą, że prezydent Lincoln powołał pod broń 300,000 ochotników. Jeżeli to prawda, to położenie Unii obecnie bardzo jest rozpaczliwe. Charleston jeszcze nie wzięty: Trzy monitory północne zostały silnie uszkodzone.

Ostatnie depesze. Wrocław 30 października. Dotychczas znane rezultaty wyborów do izby poselskiej, odbytych do d. 29 października, okazują, że stronnictwo opozycyjne liczących ma reprezentantów. Z Poznańskiego wybrani zostali dotąd: Libelt, Guttry, Działyński, Bentkowski, Kantak, Respondek, Łyszkowski, Stablewski, ks. Janiszewski, Tokarski i Bolewski.

Londyn 28 października. Wiadomości z Nowego-Yorku dochodzą do dnia 17 b. m. Generał Lee zajął dawne pole bitwy pod Bull Run. Meade wysłał bagażę do Aleksandrii. Prezydent Davis obejmie dowództwo naczelną nad armią Bragga.

Hamburg 28 października. Dzienniki szwedzkie i norwęgskie coraz energiczniej oświadczają się przeciw przymierz z Danją.

Wiedeń 28 października. Na dzisiejszem posiedzeniu izby deputowanych, Schindler interpeluje, czy ministerium tej jeszcze sessji zamysła przedstawić projekt ustawy o odpowiedzialności ministrów. P. Szmerling przyrzeka dać odpowiedź na to pytanie na jednym z najbliższych posiedzeń. Mówią znowu o zbliżeniu między Węgrami i rządem austriackim. Według korespondentów Schles. Ztg. stosunki między Austrią i Francją bardzo się oziębiły w ostatnich czasach.